

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JAN KASPROWICZ

**UTWORY
POETYCKIE**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Z CHAŁUPY

[1887]

I

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach;
Za chatami krępy sad wiśniowy;
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.

Płot się wali; piołun na podwórkach;
Tu rzą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewczek wieniec zdrowy
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie -
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

II

Tam, za wioską - weź, Ojczy nasz, dzięki! -
Jak pszeniczne kołyszą się ławy!
Żyto, jęczmień i owies złotawy
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Wiatr od pola się rozgrał - czyż w jęki? -
Z dróg się mgliste podnoszą kurzawy;
Nad drogami, wśród pokrzyw i trawy,
Skrzypią krzyże, godła łez i męki.

O Ty Boże! o Chryste! o Panie!
Płonny owoc ta ziemia nam płodzi -
Tłuste kłosy, bo tłuste uprawy:

Nie na darmo ten wiatr tak zawodzi
I tak smętne poszumy na łanie -
Tu kłos każdy to chłopski pot krwawy.

III

Święty Kazmierz - powracają czajki;
Święty Wojciech - bociany klekocą,
Słońce grzeje, rowy w mlecz się złocą,
Brzmia skowronki, rychłe, polne grajki.

Po murawach dzieci, strzępem krajki
Podkasane, w pasy się szamocą;
Na przyzbicach baby w głos chichocą -
„Eh! kumolu! bajki, żywe bajki!”

Wiosna!... Wiosna wszędy życie budzi!

Jej błękity, słoneczne uśmiechy

I pod chłopskie wciskają się strzechy.

I tu raźniej biją serca ludzi,

Choć się troski za troskami tulą

Do tych piersi pod zgrzebną koszulą.

IV

Biją dzwony... Trza święcić niedzielę,

Trzeba na mszę, uczcić przykaz boży...

I niebieską sukmanę nałoży,

Za kapelusz zatknie ruty ziele.

Biją dzwony... Chrzcziny czy wesele?

Dni krzyżowe!... I serce się trwoży:

Grady... susze... łza i krew się mnoży,

Gdzież obrona, jeśli nie w kościele?

I tłum korny padnie na kolana:

„Od powietrza, głodu, ognia, wojny

Chroń nas, Ojcze! daj nam czas spokojny -

Czas bez troski nadmęskiej i trudu...”

Ach! jak fala płynie pieśń rozlana -

Biedny ludu! Święty, polski ludu!

V

Co za rozgwar, co za życie w siole!
Jakie zewsząd płyną wonie świeże:
Starzy prawią, dziewczki mają krzyże
W bzy, bylice, w bławaty, kąkole.

To Jan święty chrzci wodę w rozdole,
Gasi zielsko, które jadem liże;
Czas sobótki i chłopcy, skry chyże,
Ze snopkami za wioskę, na pole.

I ogniska na przecznicach płoną,
Szumi żyto, rzepik zapach leje,
Gwiazdy świecą, wróżą coś dziewczyny:

Nim rok minie, czyż, w rutę zieloną
Włos przystroi im luby, jedyny?
Spadła gwiazdka, spadłyż i nadzieje?

VI

„Co?... naprawdę?... Eh! smalone duby!...”
„Jako żywo! wiecie, że nie kłamię:
Jak mgła siny stał przy samej bramie -
Widać nie ma spokoju duch Kuby.

Albo wtenczas, gdym z Bartkowej huby
Wracał do dom - święte krzyża znamię! -
Ten pies czarny!... te dwa węgle w jamie!
Panie! chroń mnie od powtórnej próby!”

I tak gwarzą, a deszcz w okna bije,
Drzwi coś skrzypią, słycać szczęk łańcuchów.
Wicher jęczy, pies w podwórku wyje.

Na kominku resztki ognia gasną,
Północ wciska się w izdebkę ciasną,
Strach przejmuję w tę godzinę duchów...

VII

„Śpiewaj, Kasiu!...” I mgłą się powleką
Dwie źrenice, te żywe dwie wróżki.
I „Kaj wiodą cię, Jasiu, te dróżki?
Na wojenkę, na wojnę daleką!”

Albo: „Ciagną żurawie nad rzeką,
W rzece pierze Jagusia pieluszki,
Zimna woda oblewa jej nóżki,
A po liczku lży cieką, ej! cieką...”

I piosenka jak płynie, tak płynie,
Aż się oczy załzawią dziewczynie,
Aż na piersi opadnie jej głowa.

A babusia zasypia spokojna
I coś szepce: „Ej! wojna! ta wojna!
Ej! ta woda, ta woda lodowa!”

VIII

Przyszedł do niej o zmroku, gdy chłody
Spadną srebrne na gęstwin korony:
„Daj mi, Maryś, swój wianek zielony,
Tam w tym gaju, u tej sinej wody.

Jaka rozkosz i jakie to gody!...
O ma złota!...” „O mój ulubiony!...”
Ach! że drżą aż leszczyny i klony
Na tę miłość, tę słodsza nad miody...

Ale potem... ci ludzie!... cóż z tego?...
„Żal mi tylko warkocza czarnego,
Żal warkocza, co zakrył mi oczy -”

I w łzach cała; swachy czepią, pieją,
Brzmi muzyka, tańczy lud ochoczy,
A stolarze w lot kolebkę kleją...

IX

Co dzień chodzi, czy pogoda sprzyja,
Czy mu oczy tumania zamiecie;
„Pani-matko!” siania się kobiecie,
A do córki: „gwoździczek, lelija!...”

Na odpuście zaloty zapija,
Szczęśliwszego nie ma w całym świecie;
I córeczka płoni się jak kwiecie,
A matusia wargi w uśmiech zwija.

I drą pierze, przędą len kudłaty,
Trza wyprawy: koszuli, pierzyny -
Ślub za pasem... gdy wróci jedyny.

Ale Wojtka - wzięli go w żołdacy -
Do powrotu nie przynagła serce:
Gdzieś w Szczecinie oddał je „Pomerce”.

X

Oj, ja biedna, jak osiet na grzędzie!
Któż się doli sieroczej pożali?
Matus żyta ni owsa nie siali,
Nie ma sprzętów, wesela nie będzie!

„Oj, ja naga jak w lesie żółędzie,
Jak te szyszki, które słońce pali:
Ni jedwabi, ni sznurka korali -
Oj, nie przyjdzie od swatów orędzie!”

I tak w łzawe rozplywa się lęki,
A łzy płyną w jeziora topiele.
Ale jakoś uśmiecha się woda:

Przyjdą swaty i będzie wesele!
Nad korale, ponad jedwab miękki
Twa rumiana, dziewczyno, uroda.

XI

Na zapłociu spędzali wieczory,
On jej szeptał: „O, moja jedyna!”
Z nim bylica i biała brzezina,
Z nim szeptały zielone jawory.

A przed świtem na nogach... Tak, skory!
I gbur kontent, i lubi jak syna -
Da mu córkę, gdy przyjdzie godzina,
I mórg ziemi, i krowę z obory.

Przyszły żniwa, czasy zapowiedzi...
„I do cepów jestem, i do cięcia,
Panie gburze! weźcie mnie za zięcia!”

Ale gbur mu odpowie z owczarska:
„Niechaj każdy, jak usiadł, tak siedzi -
Tyś parobkiem, ona gospodarska”.

XII

Płacze... biedna... a jeszcze tak młoda,
Chociaż, widać, pewnie smutek siny
Spędził kwiatki z policzków dziewczyny -
Szkoda róży czerwonej, oj! szkoda.

Płacze... we łzach jej cała uroda.
Tak jak w rosie ślubne rozmaryny;
Oparła się o krawędź łóżyzny.
A łzy gorzkie tak płyną jak woda.

Jak nie płakać!... Miesiąc z sobą żyli,
A dziś, Boże!... dziś ich rozłączyli...
Jak nie płakać!... Żałują sąsiadki...

Wczoraj w karczmie... dobrzy przyjaciele...
Skrzypce... tany... kieliszek za wiele
I do bójki... a dzisiaj przed kratki.

XIII

Pierwsze lata, kiedy się pobrali,
Szczęście kwitło jak w polu makówki,
Mieli chatę, szkapsko i dwie krówki,
Byli młodzi - siali i sprząтали...

Ale potem - niech się Bóg pożali...
Ciężkie zimy i ciężkie przednówki
I w pierzynie wciąż liczniejsze główki -
Poszło bydło, chata i tak dalej.

Dziś, jak dzieje się zwykle z tą sprawą,
Kiedy kłopot zagnieździ się w łożu,
Kiedy bieda pochwyci za szyję:

On zakończył w karczmisku pod ławą,
Dzieci w służbie, a ona, niebożę,
Od wsi do wsi, dziś żebrze i pije...

XIV

W poniedziałki, pogoda czy słoty,
Czy na sucho, czy człowiek się schlasta,
Hej, z tłumokiem na plecach do miasta,
Aż na czole srebrzyste lśnią poty.

Bo cóż robić?... Te troski niecnoty!
Sama jedna na świecie niewiasta!...
Jak na drożdżach potrzeba wciąż wzrasta,
Trza podatku, trza odziać sieroty!

I dziś z targu pospiesza w swą stronę.
Nakupiła to soli, to krupy,
Nawet niesie dla dzieci kołacza.

Ale jakże wróciwszy rozpacza!
Tlą się jeszcze resztki jej chałupy,
A dzieciska na węgiel spalone.

XV

Miała rolę, sprzedali jej rolę -
Były czasy gradu i posuchy,
Kubę dawno zamknął grób już głuchy,
A skąd płacić, gdy pustki w stodole?

Pożegnała ze łzami swe pole,
W służbę poszły nieletnie dziewczuchy,
I na plecach kawał starej pstruchy,
Tak na wiatr się puściła - na dołę.

Wędrowała od wioski do wioski:
Tu się najmie do żniwa, tam pierze,
Pokąd lata, pokąd siły świeże...

Ale starość spada funt po funcie:
Trza pójść w żebry, trza żyć z łaski boskiej...
I dziś zmarłą znaleźli na - gruncie.

XVI

On w łachmanach, z dzieciakiem za rękę,
Ona kawał szarego chuściska
I tak dalej, przez rowy i rżyska,
W świat szeroki, na biedę, na mękę.

Wiatr jesienną wydzwania piosenkę,
Słońce chłodne promyki swe ciska;
Cała ziemia, snadź zimy już bliska,
Składa życiu ostatnią podziękę.

Idą milcząc... Bo na cóż im słowa?
On ich dotąd natracił do syta:
„Dajcie pracę, choćby za ćwierć myta”.

„Lato przeszło, dość swoich się chowa -
Ledwie dla nich wystarczy nam chleba...
Praca trudna... przybłądów nie trzeba...”

XVII

Słońko świeci, oj, świeci iskrzyste,
Ale jakoś się rozgrzać nie może!
Pierwsze szrony dziś spadły na zboże
I zmieniły w szron rosy kropliste.

Poza wioską, gdzie, patrzcie! w srebrzyste
Oziminy usłały się łoże,
Wyszło chłopię na ciche rozdroże
I wciąż szepce: „O Jezu! o Chryste!”

W którą stronę się udać, snadź nie wie,
A tu nagie gałęzie na drzewie,
A siermiężka na strzępy podarta.

Gbur przez lato sierotę-niebogę
Miał do bydła... „Na zimę? Do czartal”
Kawał chleba w zanadrze i w drogę.

XVIII

Wiatr zadmiewa i straszną szarugą
Pcha go na wstecz i bije mu w oczy:
Przygarbiony, z pękiem chrustu, broczy
W zaspach śniegu, aż pot ciecze strugą.

Drogą krótką, a jednak tak długą...
Serce bije, aż się w oczach mroczy -
Patrzy w zmroki, czy wioski nie zoczy -
A! tam pewnie, za tą mglistą smugą...

A, tak! pewnie... Lecz trza spocząć chwilę,
Dech zamiera i nogi się bronią -
Wypoczynek wszak wzmacnia na sile.

A w chałupie aż zębami dzwonią -
„Ojciec poszedł zbierać drzewo w lesie -
Wnet przyniesie...” Ej-że, czy przyniesie?!...

XIX

Leży chory dwa miesiące blisko,
Rwanie w krzyżach, ból piersi, ograszka -
Nie pomoże ni piasek, ni kaszka,
Aż się zwija na kłębek płachcisko.

Jakie było to z niego chłopisko!
Zwinniejszego nie ma we wsi ptaszka:
Machać cepem lub kosą to fraszka;
Fraszka mokre wyrzucać torfisko.

Teraz blady jak ściana i słaby...
Darmo leki przynoszą mu baby,
Śmierć zagłada z każdego otwora.

Trzeba księdza, niech grzechy przebaczy,
A ksiądz łaje: „Jedźcie po doktora - „
Księżę, za co?... Doktor dla bogaczy...

XX

Na kominie płomyczek się żarzy,
To popelźnie odbłyskiem w głąb chaty,
To ozłoci wytarte je szmaty,
To wypocznie na jej bladej twarzy.

Ona siedzi przy ogniu i marzy.
Pewno widzi skarb jaki bogaty -
Złoto, srebro, purpurę, granaty,
Aż się spojrzeć od blasków nie waży.

A, tak!... wczoraj jej skarbiec jedyny
Wzięli z ręki i w obce go strony
Tak pognali, jak nie boże syny.

Dziś go widzi, a jaki rześisty:
Ciemny mundur i kołnierz czerwony,
Żółty guzik i „zebel” srebrzysty.

XXI

Lichy knotek na murku w izdebce
Pokazuje mi kształty w półmroku:
Cztery ściany, dwa łóżka przy boku,
W kącie dziaduś zdrowaśki swe szepce.

Z szarej miski resztki żuru chłopce
Dwoje dzieci, w drugim, trzecim roku,
A matula, na wpół z drzemką w oku,
Nad najmłodszym, co leży w kolebce.

A gdzie ojciec?... Pracuje w fabryce,
Het za wioską... daleką ma drogę...
Musi wrócić, czekają na niego...

Lecz już późno, sen klei źrenicę...
Ach! a może... Panie! chroń od złego...
Tak, maszyna urwała mu nogę...

XXIII

Pamiętacie, ten sąsiad po prawej:
Wzrost miał wielki i szerokie barki,
Lubił czasem wypić sobie starki
I nie gardził żadnym kąskiem stawy.

Miał szkapinę: wałach był cisawy,
Ze Żydami jeździł na jarmarki;
Chwalił Boga i płacił szarwarki,
I uciekał od kłótni i wrzawy.

Lecz gdy panicz znajdzie się w komórce
I przy werku Jagny się pokręci -
Panie! ratuj! o ratujcie, święci!

Cała dusza pali się płomieniem,
Nie przepuści ni jemu, ni córce
I dziś, biedny! płaci to więzieniem.

XXIII

Pamiętacie, ten sąsiad po prawej:
Wzrost miał wielki i szerokie barki,
Lubił czasem wypić sobie starki
I nie gardził żadnym kąskiem stawy.

Miał szkapinę: wałach był cisawy,
Ze Żydami jeździł na jarmarki;
Chwalił Boga i płacił szarwarki,
I uciekał od kłótni i wrzawy.

Lecz gdy panicz znajdzie się w komórcie
I przy werku Jagny się pokręci -
Panie! ratuj! o ratujcie, święci!

Cała dusza pali się płomieniem,
Nie przepuści ni jemu, ni córce
I dziś, biedny! płaci to więzieniem.

XXIV

Miał córunię, chował jak żrenicę,
O mój Boże! o mój mocny Boże!
Jeść nie może i sypiać nie może,
Pieści oczy i gładzi jej lice.

I wyrosła, robi we fabryce,
O, mój Boże! o, mój mocny Boże!
On jej ślubne gotuje już łoże,
Wybrał dla niej parobka jak świecę.

Lecz nim przyjdą śluby i wesele,
O, mój Boże! o, mój mocny Boże!
Chodźcie baby, gotujcie kąpiele.
Dobry ojciec, stary Wojtek Janta -
O, mój Boże! o, mój mocny Boże!
Dostał wnuka, syna fabrykanta.

XXV

„Umarł?...” „Umarł...” „Takie lata zradne,
Człek snadź młody, a jednak już stary...”

Ale pogrzeb kosztuje talary:

Ksiądz, kopidół, podzwonne, pokładne.

„Jegomości!... ja biedna, nie kradnę...”

A księżulo: „Nie pijcie opary,

Będą grosze na msze i ofiary...

Lecz ja biorę... to, czego dopadnę”.

Ha! cóż robić?... pogrzebać go trzeba.

Duch bez księdza nie pójdzie do nieba -

Więc ostatnie zanieś piernaty...

A wiatr wieje, a czasy tak chłodne,

A mróz siny wciska się do chaty,

A robaczki golutkie i głodne...

XXVI

Koszą rzędem... A słońce tak piecze,

Że snadź piecem gorącym świat cały...

A pokosy padają jak wały,

Kiedy burza rozmacha swe miecze.

Koszą rzędem... a pot z czoła ciecze.

Jak z drzew rosa, co się pozginały...

Ej! ta rosa... ta słona... płaz mały,

A wysysa pacierze człowiecze.

Ale trudno... to boże przykazy,

Dane ludziom już w Raju, przed wiekiem,

W przeznaczeniach nie zachodzą zmiany:

Drzewo drzewem, a głazami głazy,

Woda wodą, a człowiek człowiekiem,

Więc pracować mu trzeba na - pany...

XXVII

Zanim zgaśnie jutrzienka, nim spłoną

Złotej zorzy rumieńce na niebie,

Chłop już z werka, półdrzemiąc, się grzebie:

A dyć dzwonią, trza z pługiem, trza z broną.

Jeszcze słońce płomienną koroną

Nie uwieńczy tej ziemi i siebie,

A Już baby i chłopcy o chlebie

I o żurze ku żniwnym zagonom.

Idą gwarząc, lecz gwarzą coś smutnie,
Czasem Kaśka lub Bartek żart utnie,
Ale żarty, jak gdyby nie z duszy.

Czasem piosnka gawędkę zagłuszy,
Lecz i strofki coś tęskne, nie cieszą -
Nie dziwota, wszak na pańskie spieszą.

XXVIII

„A wy dokąd, Macieju, w tej słocie,
Że psa wygnać byłoby dziś grzechem?
Widzę, z rydlem idziecie i z miechem -
A jak w podróż w odświętnej kapocie.”

„Człek się, panie, nie rodził, gdzie krocie,
Trza ich szukać”, wyrzecz z uśmiechem.
I pożegna, i dalej, z pośpiechem,
W tej szarudze, w tym deszczu, w tym błocie.

Ja go znałem... fornałem był w Siewnie...
I miał wkrótce pójść między włodarzy,
To małego już gburstwa początek...

Lecz pan sprzedał, jak słyszę, majątek,
Przyszedł obcy, inak gospodarzy,
Pewnie wygnał go z chaty... A pewnie!...

XXIX

Do szpitala powieźli biedactwo...
Świetne przyniósł mu rok ten gościńce:
Połamane pacierze i sińce -
Co za skarby! jakież to bogactwo!

Ekonomski bat wielkie ma władztwo -
Plecy chłopskie! tu wyprawia młyńce,
A chciej tylko poskromić złoczyńcę:
Bunt pod ręką, brak czci, świętokradztwo!

I ludziska, jak woły robotne,
Chodzą w jarzmie i milczą, zakłętę,
Chociaż serce w krzyk głośny się budzi!

Tak, jak woły, w niewoli poczęte -
Te są tylko różnice stokrotne:
Tych nie biją, ale biją ludzi...

XXX

Chodził w fraczku, choć ojciec w sukmanie,
Giał się w kabłąk: „Upadam do nóżki,
Jaśnie hrabio! całuję paluszki -”
Ojcu trudno było wyrzec: „Panie!”

Do panienki: „Różyczka, zaranie!”

Do panicza: „A może dziewczuszki?

Mam siostrunię, piersi jak dwie gruszki,

No a liczko, pah! pah! to kochanie”.

Wreszcie, słyszę, siedzi w kryminale:

Okradł pany, sfalszował papiery,

Wszystko prawda jak dwa a dwa cztery.

Ojciec zsiwił, matka w gorzkie żale,

Ludzie w śmiechy, szydzą swym zwyczajem...

Cóż dziwnego? przecież był lokajem...

XXXI

Ja ci zawsze mówiłem, sąsiedzie,

Że na diabła tym chamom nauka!...

No... na zdrowie! gdy człowiek popłuka,

Nie zawadzi po takim obiedzie.

Chłop pokorny, dopóki jest w biedzie,

Pokąd widzi koniuszki kańczuka...

Lecz i do wrót szlacheckich zastuka,

Gdy mu jakoś się dobrze powiedzie...

A przybysze, zwaliwszy się tłumnie,
Zabierając szlacheckie dostatki,
Szeptają chłopom: „Działajcie rozumnie!

Po co leżę wam, gdzie błyszczą się szmatki,
Gdzie czyn lichy, choć słowa bogate -
My wam damy i chleb, i oświatę...”

XXXII

„Zapaliła im się wreszcie świeczka,
Poszli wreszcie po rozum do głowy;
Widzą wreszcie, że olbrzym ludowy
To nie plewy albo jaka sieczka...”

Idę... czytam: „Wiejska biblioteczka...”
„A spis książek?...” „Tu!...” Miesiąc Majowy...
Straszne Męki... Kalendarzyk Nowy...
Trąba Sądu - a to mi książeczka!...

Oto próbka szlacheckiej kultury!
A gmach słaby! a gmach cały trzeszczy -
A z zachodu płynie szum złowieszczy:

To złe duchy na skrzydłach wichury
Szydzą głośno, wywalając wrota:
„Nie my niszczym, lecz wasza ciemnota!...”

XXXIII

Na sejmiku zebrali się licznie:

Posła wybrać trza do parlamentu:

Pełno wrzawy, pełno krętu wętu -

Życ umiemy, widać, politycznie.

I rzekł chłopom kandydat prześlicznie:

„Bracia!...” „Wiwat!...” „Bracia, jak okrętu

Maszt!...” „Niech żyje!... Wiwat!...” „śród odmętu,

Tak i nasza, widać to publicznie -”

I tak dalej... A biedne chłopiska

Ot, tak mądrzy, jak byli przed chwilą,

Choć słuchają, choć się w rozum siłą...

„Mówi jaśnie, nawet braćmi zowie,

Nie słyszeli tak nasi ojcowie...”

Tak! braterstwo i oświata błyska.

XXXIV

„Słuchaj, Milciu!... to chłopak jest sprytny,

A nam wołu nauki nie zjedzą...

Trza oświaty... a przy tym powiedzą:

Patriota... filantrop... duch szczytny...”

I tak w szkoły szedł Wicusz Pochwytny,
I aż do dna upajał się wiedzą,
A dwór płacił... Lecz rychło coś cedzą:
„Grosz rzucony... chłop krnąbrny, ambitny...”

Trzeba zbadać... I dzwoni uprzężą,
Rzą cugowce... kocz drogę zamiata...
A pod wieczór powróci z mieściny:

„Masz tu chamów! padalce! gadziny!
Wychowałem u piersi swej węża,
To heretyk, to zbój - demokrata!...”

XXXV

„Proboszczuniu!... mam syna... pojętny...
Szkoła blisko... Bóg dał mi niedużo,
Ale pójdzie, gdy siły posłużą,
Kiedy człowiek obrotny i skrzętny.

Ze sukmanki surducik odświętny -
I kirejka na słotę - na burzę...
Będzie księdzem... jak losy wywróżą:
Człowiek liczy, a Pan Bóg niechętny...”

„Tsia!... jać tego nie chwałę zapału:
Dziś nauka to ogień piekielny,
Smaży żywcem... tak z wolna, pomału...

Kościół zburzyć chcą dziś mędrków krocie;
Toć sam Pan Bóg zamieszkał w prostocie -
Niech zostanie przy pługu, mój Chmielny!...”

XXXVI

Pasał bydło i chodził pod żyto,
To pod wierzwą nad strugą siadywał
I tak słuchał, jak kłós się odzywał,
Co liść szemrze i wody koryto.

Przestał pasać... był dworskim... za myto
Kupił sobie skrzypicę i grywał;
Na weselach tak chłopów porywał,
Że inaczej tańczono i pito.

Kto wie, jakie miał skarby w swej duszy:
Może byłby w stolicy artystą,
Piłby wino, obsypał się złotem...

Lecz tu wszystko marnieje w tej głuszy,
Dziś się zagrał i zapił się czystą,
I zakończył w łachmanach pod płotem.

XXXVII

Mieli syna, dali go do szkoły;
Syn się uczy, aż się serce śmieje;
Z roku na rok wzrastają nadzieje,
Z nimi rosną i dziury stodoły.

To nic... wreszcie synalek Jemioły
Edukacji wsze przeszedł koleje;
Dzisiaj grzebie umarłe i pieje,
Pasie żywe - barany i woły.

Ojciec poszedł już dawno na wieki,
Nie doczekał się nawet dziekana:
Na trud, lata nie pomogą leki.

A matula w opałach od rana:
Drobi kluski przed księdza koguty,
Klepie pacierz i - czyści mu buty...

XXXVIII

Miał być księdzem... Ano, rzecz to zwykła:
Chłopskie dziecko... a ksiądz człowiek boży...
I tatulo grosz za groszem łoży,
I do miasta to żyto, to ćwikła.

Ale ludzka rachuba jak nikła!...
Syn im bardziej w nauki się wdroy,
Czuje, serce, jak na kłam się trwoży,
Jak całego prawda w sieci wikła...

Głuzą ludzie... i ksiądz proboszcz słyszy:
Woła Maćka: „Panie! odpuść grzechy,
Lecz ze syna nie macie pociechy!...”

Ojciec w gniewie pieni się i dyszy
I śle pismo: „Nie mojes ty dziecko!”
A z rozpaczy umarło kobiecko...

XXXIX

Rano, zimą, mróz czy zawierucha,
W surduciku do szkoły o milę,
A wieczorem w chacie późne chwile
Z książką, z piórem, chociaż w ręce chucha.

Latem, wolny, zastąpi pastucha,
A pod pachą Homery, Wirgile;
Ludzie czasem poszydzą niemile,
Lecz on pasie i ludzi nie słucha...

I tak wyrósł... I dalej w stolicę...
Tam to wiedzy głęboka jest rzeka...
Ojciec czeka i matula czeka...

A on pisał: „Kochani rodzice!...
Skończę... bieda... dużo do roboty...”
I dziś skończył... umarł na suchoty...

XL

Aż mu cała rozpala się dusza,
Tak naukę wciąż chłonie i chłonie,
A nauka w szlachetne pogonie
Za ideą i serce mu zmusza.

I braterstwo do głębi go wzrusza,
Chciałby wszystkich pomieścić w swym łonie,
Choć mu Spartak szepce o swym zgonie,
Choć go nieraz straszy cień Mariusza...

I raz siedząc w ławce, zadumany,
Schwyci rękę panicza-sąsiada,
Szepcząc: „Bracie!” z okiem, co nie kłamie.

Ale panicz snadź nie tak kapany -
Jakby uczuł ukąszenie gada,
Dłoń mu wyrwie i spyta: „Co?... chamie!?!...”

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY

[1898]

[WIERZYŁEM ZAWSZE W ŚWIATŁA MOC]

Wierzyłem zawsze w światła moc,
Władnącą nad mrokami,
A przecież nieraz wiarę tę
Gorzkimi zlewam łzami.
I wstaje z morza gorzkich łez
Zjawisko wnet olbrzymie,
Nachyla ku mnie smutną twarz,
A Rozpacz mu na imię.
Nachyla ku mnie bladą skroń,
•renicą wabi ciemną,
Zamyka w uścisk, ach! i świat
Zamyka razem ze mną.

[TĘSKNIĘ KU TOBIE, O SZUMIĄCY LESIE!]

I

Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny
W bezmierny przestwór na swych puchach niesie,
Ulata duch mój, sam w melodie plenny.

Syt jestem ziemi; z tej kaźni codziennój,
Trosk jej i cierpień, o szumiący lesie,
W akordy hymnów pierwotnych brzemienno,
Jak więzień z kajdan, tak ma dusza rwie się.

Jest zapomnienie w tej pieśni; jest lube,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
W fali twych tonów rozplynie się bytu;

Jest w nich tajemne przecucie, że zgubę
Tego, co duszy wybawieniem zwie się,
Chowają w sobie dziedziny błękitu...

II

Struny twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co byt w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze -

Gdy kształty bytów święte Słowo boże
Przybierać jęło. O szumiący lesie,
Rozlewne dźwięków przedwiekowych morze!
Wówczas, gdy żywioł za żywiołem rwie się,

Kiedy Tworzyciel blask swój i swe cienie,
I cichość swoją, i swój rozgwar niesie
W pustą bez końca i bez nocy głuszę -

To samo wówczas spłodziło nasienie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

III

Dlatego dzisiaj, o szumiący lesie,
Ma dusza wnika w twą duszę, rozumie,
Chociaż ludzkiego ciała ogniem zwie się,
Choć ludzkim śpiewa językiem, w tym szumie

Akord najcichszy... A gdy w drzew twych tłumie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Wichr się rozgości w swej szalonej dumie
I burzycielskim swoim tchem rozniesie

Twe liście świeże, przerywając ciszę
Trzaskiem konarów, i ma dusza gnie się,
I swą koronę wraz z twymi kołysze,

I razem z tobą, o jęczący lesie,
Jęczy, i jęk swój razem z twoim splata
W echo tych cierpień, co ranią pierś świata...

IV

O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snadź go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerzym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze melodie dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

A jednak dzisiaj - niech wierzchołki twoje
Ten tajemniczy, cichy wiew porusza
W pieśń, co ma w sobie zapomnienia zdroje,

Co rozplnięciem jest bytu. Niech rwie się
Świat ten! Spokoju spragniona ma dusza,
O słodką ciszę szeleszczący lesie!

WIATR HALNY

I

Huczy nade mną halny wiatr... Daleki
Wprzód mnie dochodzi szum i świst, a potem
Z jakimś pogwarem, trzaskiem i łomotem
Ciężar się kładzie na wysmukłe smreki.

Od razu kłody o grubości snopów
Gną się w mych oczach jak źdźbła lichej słomy:
Tak igra nimi głuchy, niewidomy,
Gość, co od skalnych wlecze się przekopów.

Idę, wciąż idę, po jęczącym borze...
I choć spotykam pnie, wyrwane z ziemi,
Ten szął, w błękitnym zbudzony przestworze,

By giąć i walić, strachu mi nie wlewa
Do głębi wnętrza: Rad bym siły swemi
Zmierzyć się z wichrem jak te wielkie drzewa.

II

Miałem ci w sobie ongi moc czuwania,
A dzisiaj senność ogarnia mi ducha:
Gdzie życie wrzało, tam dziś pustka głucha,
Gdzie słońce było, chmura blask przysłania.

Jakowaś boleść, jakaś zawierucha,
Co słabym bytom pewną śmierć wydzwania,
Niech, jak halnego wiatru straszne grania,
Wstrząśnie istotą moją: Jest-li krucha,

To po niej żalu nie będzie... A jeśli
Nieprzełamana wyjdzie z tych zapasów,
To razem z wichrem taki szlak zakreśli,

Że zetnie na nim smreki swym oddechem,
Sił pozbawione dla idących czasów,
A to, co mocne, odpowie jej echem.

III

O wichrze halny! Cóż, że przelekniona
Chowa się koza przed twojej potęgi
Wiewem niszczącym? Sam orzeł, co kręgi
Toczy podniebne, tuli się do łona

Szczelin turniowych, bo królewskich skrzydeł
Jędrna rozpiętość nie wytrzyma próby...
Strącaj kozice, ty posłańcze zguby,
I orły chwytaj w oka swoich sideł,

I miazdź o skały, i jak łąn, pokosem
Bór położywszy, hucz szaleńczym głosem -
Razem z mą duszą hucz i świszcz radośnie:

Cóż, że z ginących strumień krwi popłynął?
Wszak nie ma szczęścia tam, gdzie życie rośnie!
Niech świat przepada, na to on, by zginął!...

IV

Huczy nade mną halny wiatr... Na drogi
Jego przemocy, po których Zagłada
I Ból pospiesza, duch się mój wykrada,
Świeżo uskrzydłom, żądny łez i trwogi.

A od hal bujnych płynie jęk złowrogi -
Rozpacz łkająca, że wicher pobił stada
I porozrzucał koleby... I blada,
Z włosem rozwianym i z drżącymi nogi,

Postać juhasa przed oczy mi stanie...
I niby orzeł z podciętymi pióry,
Krwia skraplający swe rodzinne granie,

Duch mój do smreków tuli się bezwładnie...

I naprzód czuje strach i żal ponury,

A potem znowu - senność go opadnie...

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY W CIEMNYCH SMRECZYNACH

I

W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,

Gdzie pawiookie drzemią stawy,

Krzak dzikiej róży pąs swój krwawy

Na plamy szarych złomów ciska.

U stóp mu bujne rosną trawy,

Bokiem się piętrzy turnia śliska,

Kosodrzewiny wężowiska

Poobszywały głaźne ławy...

Samotny, senny, zadumany,

Skronie do zimnej tuli ściany,

Jakby się lękał tchnienia burzy.

Cisza... O liście wiatr nie trąca,

A tylko limba próchniejąca

Spoczywa obok krzaku róży.

II

Słońce w niebieskim lśni kryształe,
Światłością stały się granity,
Ciemnosmreczyński las spowity
W bladobłękitne, wiewne fale.

Szumna sikława mknie po skale,
Pas rozwijając srebrnolity,
A przez mgły idą, przez błękity,
Jakby wzdychania, jakby żale.

W skrytych załomach, w cichym schronie,
Między graniami w słońcu płonie,
Zatopion w szum, krzak dzikiej róży...

Do ścian się tuli, jakby we śnie,
A obok limbę toczą pleśnie,
Limbę, zwałoną tchnieniem burzy.

III

Lęki! wzdychania! rozżalenia,
Przenikające nieświadomy
Bezmiar powietrza!... Hen! na złomy,
Na blaski turnie, na ich cienia

Stado się kozic rozprzestrzenia;
Nadziemskich lotów ptak łakomy
Rozwija skrzydeł swych ogromy,
Świstak gdzieś świszcząc spod kamienia.

A między zielska i wykroty,
Jak lęk, jak żal, jak dech tęsknoty,
Wtulił się krzak tej dzikiej róży.

Przy nim, ofiara ach! zamieci,
Czerwonym próchnem limba świeci,
Na wznak rzucona świstem burzy...

IV

O rozżalenia! o wzdychania!
O tajemnicze, dziwne lęki!...
Ziół zapachniały świeże pęki
Od niw liptowskich, od Krywania.

W dali echowe słyhać grania:
Jakby nie z tego świata dźwięki
Płyną po rosie, co hal miękki
Aksamit w wilgną biel osłania.

W seledyn stroją się niebiosy,
Wilgotna biel wieczornej rosy
Błyszczą na kwieciu dzikiej róży.

A cichy powiew krople strąca
Na limbę, co tam próchniejąca
Leży, zwałona wiewem burzy...

CISZA WIECZORNA

I

Rozmiłowana, roz tęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobistej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem,
Czoło Świnicy w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawym złotem.

Tak niktąć po szczycie i po hali,
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

II

Płonie kamienna Tatr korona,
A cisza siada między granie,
Rozleniwiła, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesz zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snadź dźwigającą wieki... wieki...

Za nią jak źródł, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze...

III

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze, zalękniona,
Przykłada ucho swe do ziemi;

Nic!... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok ogarnia skalne ławy,
A od nich płynie do stóp ciszy
Li jednostajny szmer sikławy.

Czasem zaklęty las zadyszy
Albo wystrzeł krzyk pastuszy
I zamilkł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przelękłej, mrocznej głuszy -
Nic, prócz pojęku twojej duszy...

IV

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po halach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny,
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szklivy jak przedze te pajęczce;
Blask żenie srebrny na gęstwiny.

Blask żenie srebrny na przełęcze,
Na wichry, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręczce -

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

V

Opadły Tatry i omdlały,

Gdy na nie cisza rozmarzona

Płaszcz zarzuciła wiewny, biały;

Gdy rozpostarła swe ramiona -

Srebrnej rozświetli mgławce smugi -

Garnące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,

Od Lodowego do Krywania,

A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej ślania...

Ona omdlenie wciąż rozsiewa,

Aż w tym bezkresie wyczerpania,

Tuląc się gdzieś do limby drzewa,

Sama wraz z bólem twym omdlewa...

HYMNY

[1902]

DIES IRAE

Trąba dziwny dźwięk rozsiej,
ogień skrzepnie, blask ściemnieje,
w proch powrócą światów dzieje.
Z drzew wieczności spadną liście na
Sędziego straszne przyjście,
by świadectwo dać Psalmiście...

A ty, psalmisto Pański, nastrój harfę swoją
już na ostatni ton!

Grzech krwią czarną duszę plami...
Bez obrońcy staniem sami -
któż zlituje się nad nami?

Kyrie elejson!...
O Boże! Ty bądź naszą łaską i obroną!
Kyrie elejson!

O Głowo, owinięta cierniową koroną,
gasnącym wieki wieków spojrzuj na nas okiem!
O spojrzuj na nas z tej głuszy,
która swym tchnieniem głębokiem
ogarnia światów bezmiary,
a którą ty wypełniasz swych bólów ogromem,
o Głowo, owinięta cierniową koroną.
Żałobna drogo nieochybnej kary,
broczącej we łzach i przy jęków wtórze

w ten pozbawiony końca
Pańskiego gniewu dzień,
w którym w pożarach spokojnego słońca
szatańskim chichotem płoną
świeże, niezwiędłe róże
grzechu i winy!

Na ich purpurze
osiadł posepny i siny
tej Konieczności cień,
z której przepastnej głębiny,
z łona, pełnego niweczających tchnień,
nad boskiej woli złomem
wyrośli zabójcze kwiaty
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień...

A Ewa jasnowłosa, matka gwiazd i ziemi,
upaja się ich wonią, schylona nad niemi.
Kyrie elejson!

Przez ciebie w proch nicości wracają Twe światy,
o Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!

Od twego drzewa oderwany liść,
pędzi duch ludzki i naprzód, i wstecz,
niby garść kurzu, porwana cyklonem:
przed nim i za nim płomienisty miecz
iskrzy się ostrzem czerwonym;
przed nim i za nim wstają z swych cmentarzy
upiory wieków, naznaczone sromem

winy i grzechu,
i klną, i bluźnią, i płaczą,
jęczą i syczą, i dyszą
nieustającą rozpaczą,
od szaleńczego zamierają śmiechu
w ten Pańskich gniewów nieskończony dzień...

O Głowo, owinięta cierniową koroną,
Ty, co rozpierasz swej męki ogromem
pierś Konieczności! O Głowo,
której źrenice, jako dwie pochodnie
dogasające, płoną
nad krętą, pustą, nieskończoną drogą
i gasną, gasną, a zgasnąć nie mogą,
zawrzyj, swe oczy nad nami,
nie patrz na boleść i zbrodnię!...

Jedno jest tylko w przestworzach widomem,
jedno w zachodniej płomienieje zorzy
nad płomiennymi falami
wiekuistego Żywota
i nigdy w ciemnię grobu się nie złoży,
i nigdy ciężkich stóp swych nie poruszy,
by iść i iść, i iść
poza granice duszy -
jedno jest tylko Jednem,
grzmiącym miedzianą surmą archanioła
ponad pokoleń pokoleniem biednym
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień:
wielki, wszechmocny Ból.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!

Niech łaska Twoja winy nam odpuści...

A ty swe skronie tul

do zimnych opok, do strzaskanych grani,

do sterczących smutnie nad gardłem czeluści,

i płacz...

Surma jęczy, surma woła!

Gina w chmurach wirchów czoła;

wałem mżących mgieł dokoła

nieznany oddech miota,

jakieś potworne, dzikie kształty tworzy

i po dolinach rozpędza ich stada,

i znów je skupia w przepastnej otchłani,

i ku niebiosom wyrzuca ich kłęb,

i w jakieś czarne rozsnuwa całuny

ten niewidzialny, dreszcz budzący Tkacz,

i ciężką, mokrą tą przędzą pokrywa

wszystko, co jest...

O biada!...

Biada!... Pierś światów, przed chwilą tak żywa,

kona pod strasznym ciężarem...

Olbrzymy świerków padają strzaskane;

las się położył na skalisty zrąb;

węże kosówek, wyprężywszy ciała

w kurczach śmiertelnych, drętwieją bezwładne;

wrzos na granitów podścielisku szarem

spełznął na wieki;

kozice stromą oblepiły ścianę
i patrząc trwożnie w bezmierny, daleki,
w ten nieskończony chaos mgieł i cieni,
runęły w żlebny grób...

Rozkrzyżuj silne ramiona
i paznokciami wpij się w twardy głaz,
i odwróć oczy od onej przestrzeni,
w której rozsadza horyzontów krańce
ta Głowa, w cierń uwieńczona!

Nie patrz, gdzie siadła jasnowłosa Ewa,
wygnana z raju na wieczysty czas,
mająca zbrodnię u swych białych stóp,
wieczyście żarta płomienistą żądzą
winy i grzechu...

O duszo, pełna miłości,
a którą nieustannie szarpia niepokoje!
Pańskiego gniewu zwałił się już dzień!
Trombita Sądu nad tobą rozbrzmiewa
piorunną mocą archanielskich tchnień
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień...

Niechaj mnie sędzą,
niechaj mnie karzą -
tak, mnie, Adama, com na barki swoje
zabrał z Ogrodu to nadludzkie brzemie
przygniatającej winy
i wieki wieków pnę się z tym ciężarem
ku wiekuistej wyży,

i zbladła nie śmiem odwrócić się twarzą
tam, ku tym zmrokom, co zaległy ziemię,
tam, ku piekielnej przełęczy,
na której siadła jasnowłosa Ewa
z padalcem grzechu u swych białych stóp...

Miliardy krzyży,
opromienione okręgami tęczy,
z padolnych Styksów powstają głębiny
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień
i rosna, rosna w jakiś straszny las,
co wierzchołkami swych bolesnych drzew
przeszywa wszystkie mgły
i wszystkie blaski, które lśnią nad mgłami,
wypływające z Wszechmocy Istnienia.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Twojego gniewu nadszedł wielki czas,
głos już zagrzmiął hiobowy,
niebios wał się posowy,
z owiniętej cierniem Głowy
rzeką i morzem płynie ciepła krew,
w rzekę i morze krwi jej ból się zmienia...

W świątyni bożej zamilkł święty śpiew,
już się zasłona rozdarła na dwoje,
mur się już wali i skała już pęka...
A krew w tych morzach, w tych czerwonych rzekach,
ścięła się w ciemny lód...

Kyrie elejson!

Ogromna, niesłychana, wiekuista męka,
z nie przygasłymi oczyma,
milcząca, cicha i jak zmierzch pobladła,
na wklęsłych skroniach siadła,
na wpólotwartych powiekach
i na wydętych piersiach tych olbrzymich ciał,
które do krzyży przybiła
nielitościwa Dłoń...

W kleszczach je swoich trzyma,
wpija się w kąty ust,
ramiona w kabłąk gnie
dręcząca wieki niezmożona siła
i jak śmiertelny szal,
zastygły, skamieniały w godzinie konania,
swoim ciężarem się wgniata
w zwiędłe, z przepasek odsłonięte brzuchy
i biodra spłaszcza, kolana rozsuwa
i pokrzywione, czarne palce nóg,
pokrytych siecią fioletowych żył,
w zamarłych karczach wydłuża...

O grozo świata!

O widma, płynące w dal! -

W ten przestwór ślepy i głuchy,
w wilgotny, mgławcy pył,
w te ciemne wnętrza bezsłonecznych brył -
w potworne gmachy nadszczytowych chmur!

Jeszcze nie zapał kur,
a na piekielnej przełęczy,
nad dnem Styksowych otchłani,
siedzi pod złomem niebotycznej grani
pramatka Grzechu, jasnowłosa Ewa,
z gadziną zdrady u swych białych stóp.

Kyrie elejson!

Straszny przed nami otworzyłeś grób...
I płyną, płyną te milczące krzyże
razem z ruchomym, wielkim trzęsawiskiem,
które swą rdzawą kałużą oblewa
męczeńskie drzewa.

Wszystko, co było dalekiem i bliskiem,
co opadało w niedojrzałą głąb
i w niedojrzane wznosiło się wyże,
teraz tym wielkim, grząskim bagnem płynie
w Pańskiego gniewu ostatniej godzinie...

Kyrie elejson!

Światy pochłania nieprzebyty muł,
światy, od bożych odepchnięte bram.

A spod korzeni jadowitych ziół,
spod kęp sitowia i trzciny, i traw,
z rowów, przepadlisk, wądolców i jam,
pokrytych opalowym szkliwem zgniłych wód,
zaczyna wypływać zmij skłębiony płód:
czarne pijawki, zielone jaszczury
wiją się naprzód wplaw

i oplatają kręgami śliskimi
męczeńskich krzyży smutne miliardy,
z bagnistej wyrosłe ziemi,
zapadłe w bagnisty kał...

I oto głowy swoje, dziwne, ludzkie głowy,
świecące trupim tłuszczem żółkłych, łysych czół,
o szczękach otulonych kłębem czarnych bród,
kładą na łonach tych pomarłych ciał...
I skośne, mętne oczy podnoszą do góry
ku ich schylonym skroniom...
I biodra opasawszy w lubieżnym uścisku,
zwilgotniałymi usty
szepczą im słowa rozpusty...

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
W królestwie Śmierci staje nagi szal.
W niedoścignionym błysku
tchnienie żywota przenika
to, co od wieków zagasło...
W Pańskiego gniewu ostatniej godzinie
krew świeża płynie
z odrywających się od krzyży rąk,
z odrywających się od krzyży nóg...
I Głowa, owinięta cierniową koroną,
ta Głowa, która przestwór wypełnia bezbrzeżny,
podnosi ciężkie powieki i patrzy...

Jakaż to orgia dzika!

Jakiż to chaos mąk!

Kyrie elejson!

Idą na się zmartwychwstali,
ogniem wojny świat się pali,
tłumy w krwawej brodzą fali!

Adamie potępiony, zwróć się z strasznych dróg!
Zawiśnij na swym krzyżu, sterczącym w niebiosy,
i nie patrz, gdzie w spokoju Ewa jasnowłosa,
piekielny zająwszy próg,
do rozpustnego przytula się gada!

O biada! -

Idą na się zmartwychwstali -
w oku mściwy skrzy się gniew,
rozpaczy kurcz wypręża rozchylone wargi,
kroplisty pot oblewa policzki zapadłe,
kudły włosów zlepia gęsta krew.
Z wyciem hyjen, z rykiem lwów,
z psów szczekaniem, z rzeniem koni,
które cugli nie zaznały,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc,
poszarpane miecąc skargi,
pędzi tuman ludzkich żądz.

Ten upada, ten się broni,
temu dłoń ścisnęła krtań,
ten się w swojego brata paznokciami wrył,
a tamten zęby szczyrzy, poszarpawszy ramię,

a ten olbrzyma ręką pochwycił dwie nogi
i rozdarł na dwie szczypy tułów Heraklowy,
i w ciemną rzucił bezdeń, w Sądu straszną noc...
A z parą szklanych, martwych kul,
rozsadzających oczodoły,
biegnie bez końca, bez końca, bez końca,
gnając przed sobą bratobójczy huf,
niemy i głuchy Strach...

Zakryj błędne źrenice, ścigany Adamie!
Nad tobą tam! u szczytu
złocistowłosa Ewa!
Jej grzechu ciężar zgniółł cię, stanąłeś w pół drogi!
Zakryj błędne źrenice i na wieki wieków
rzuć się w przepastny żleb!...

Enoch i Elias z proroczymi księgi
przyszli obwieścić szalonemu światu
Pańskiego gniewu moc.
Lecz nim zdołali rozedrzeć swój płaszcz,
nim głos wytrysnął z przepelnionych łon,
padli w zamęcie spadających gwiazd,
zgaśli jak słońca,
na to wzniecone w przedpoczątkach bytu,
ażeby zgasły... Amen.

Szum się wielki stał dokoła,
kiedy surma archanioła
na Ostatni Sąd zawoła.

Głos rozlega się ponury,
jak grzmot leci złotopióry,
z dolinami równa góry.
Drży strwożona światów dusza,
a on głębie mórz wysusza.
kości wieków w grobach rusza.
Gwiazdy z orbit wytrąciła
archanielskiej trąby siła,
już rozwarła się mogiła.
Idą na się zmartwychwstali,
ogniem buntu świat się pali,
tłumy w krwawej broczą fali.
Z wyciem hyjen, z rykiem lwów,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc,
pędzi tuman ludzkich żądz...

A On,
potężne Łono przepotężnych łon,
Jasność jasności,
Zmrok zmroków,
Łaska łask i gniewów Gniew,
stanął nad skonem Żywota
i rękę położywszy na głowie Boleści,
na niezmierzonej, cierniem opasanej Głowie,
wypełniającej wszechświatów przestwory,
rozpoczął Sąd.
Biją pioruny,
a nad pioruny idzie Jego zew!
Ogrom bytu błyskawic wszystkich nie pomieści,

a Jego światłość złota
strzela nad pełnię, nad ogniste łuny
błyskawicowych potoków...

Czym jestem wobec Ciebie, ja, com z rajskich włości
zabrał z sobą, wygnaniec, tę łamiącą winę
i teraz ginę,

od Wschodu do Zachodu tułacz nieszczęśliwy,
pod nieuchronnych wyroków
w początkach dnia i nocy wzniesionym obuchem?!

Stopę swoją złożyłeś na pokoleń grzbiecie
i sądzisz! Kyrie elejson!

Płaczów i jęków słuchasz nie słyszającym uchem
i sądzisz! Kyrie elejson!

Na mękę wieków patrzysz nie widzącym okiem
i sądzisz! Kyrie elejson!

Niewiasta z rozpaczliwym krzykiem rodzi dziecko,
Ty duszę jego grzechu oblewasz hyzopem
i sądzisz! Kyrie elejson!

Wicher idzie po rozdrożach westchnieniem głębokim,
ku Twojej wyży
modlitwy niesie krwawe, przybite do krzyży,
Ty sądzisz! Kyrie elejson!

A kto mnie stworzył na to, ażebym w tej chwili,
odziany potępienia podartą żałobą,
kawałem kiru, zdjętym z mar Twojego świata,
wił się i czołgał przed Tobą,
i martwym, osłupiałym z przerażenia okiem
straszego Sądu wyławiał płomienne,

świat druzgocące rozkazy?
A kto mi kazał patrzeć na te czarne głązy,
rozpadające się na gruz pod mocą
Twojego gniewu, przeraźliwy Boże -
na głązy te, gdzie straszny owoc Twego drzewa,
złocistowłosa Ewa,
do piersi pierś padalca tuli obnażoną?...

O Głowo, przepasana cierniową koroną!...
Któż się nad dolą zlituje sierocą,
nad moją dolą,
której, Boże, Tve ręce, z kajdan nie wyzwolą?

Kyrie elejson!

Patrzaj!... Kyrie elejson!

Ona swą białą dłoń
kładzie na jego skroń -
na trupią, zapadniętą, zżółkłą skroń zleniałą...

Kyrie elejson!

I podczas gdy swe Sądy sprawiasz Ty, o morze
niewyczerpanych gniewów,
ona swym okiem patrzy w jego oczy -
omdlewającym okiem!

Kyrie elejson!

Jej nagie uda drżą,
palcami rozczesuje złoto swych warkoczy
i falą złocistych włosów
osłania jego nagość i pieści, i pieści
ustami czerwonymi bladość jego ust.

Kyrie elejson!

Wężowe jego kręgi opasują biodra
rozlubieżnionej Boleści,
a ona, wyprężywszy swe rozpustne ciało,
nienasyconym oddycha pragnieniem.

Kyrie elejson!

Na łonie jej spoczęła czarna, lśniąca broda
rozpalonego Szatana,
co świat umierający okrył swoim cieniem,
a ona,
w zbrodniczych pieszczot rozdawaniu szczodra,
zamknęła w drżące go biodra,
w nabiegłe żądzą ramiona...

Kyrie elejson!

Mą duszę pali wieczna, nie zamknięta rana!

Któż mi lekarstwo poda?

Ojcze rozpusty! Kyrie elejson.

Nic, co się stało pod sklepem niebiosów,
bez Twojej się woli nie stało!

Kyrie elejson!

O źródło zdrady! Kyrie elejson!

Przyczyno grzechu

i zemsty, i rozpaczy szaleńczego śmiechu!

Kyrie elejson!

Sądź, Sprawiedliwy!

Krusz światów posady,
rozzęgnij wielki pożar w tlejącej iskiecierze,
na popiół spal Adama oszukane serce
i płacz!

Z nim razem płacz, kamienny, lodowaty Boże!

Niech Twa surma przeraźliwa
echem płaczu się odzywa
nad pokosem Twego żniwa...

Dwujęzycznego smoka,
Szatana o trzech grzbietach zwalczył w wielkim boju
archanioł pański, Michał, i zginął w otchłani. Amen.

I stał się koniec świata... O chwilo spokoju!
Zgasł płomienny głos proroka
i wieczności noc głęboka
nieprzejrzaną jest dla oka.

A ja, wygnaniec z Raju, tułacz nieszczęśliwy,
zesłany, aby konać, na te ziemskie niwy,
i patrzeć, jak pod złomem niebotycznej grani,
usiadła matka Śmierci, Ewa jasnowłosa,
pieszcząca węża Grzechu, posyłam w niebiosy,
opadło nad wieczności tajemniczym mrokiem,
to moje wiekuiste, nieprzebrzmiałe: Amen!
Amen!

W umarłych bytów milczeniu głębokiem,
słyszeć jedynie Amen, moje straszne Amen.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Kyrie elejson!

Przede mną przepaść, zrodzona przez winę,
przez grzech Twój, Boże!... Ginę! ginę! ginę!

Amen.

A cóż powstanie ponad nicościami,
gdzie ongi były światy
i Ja, w chęć życia bogaty,
a dziś w umarłych postawiony rzędzie?

Niech nic nie będzie!

Amen!

Bo cóż być może, jeśli ja zaginął?...

Na wszystko mrok nicości nieprzebyty spłynął

Amen.

ŚWIĘTY BOŻE, ŚWIĘTY MOCNY

O niezgłębione, nieobjęte moce!

Skrzydłami trzepocę
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...

Święty Boże! Święty Mocny!

Święty a Nieśmiertelny!...

A moje skrzydła plami
krew, która cieknie bez końca.
z mojego serca...
A oko moje zachodzi mgłą,
która jest skonem
i mego serca, i duszy mej!

Niech będzie skonem i Twoim!
Święty Boże! Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami!
I niechaj łzy,
które o jasnym poranku
wiszą na kłosach wypoczętych zbóż
lub szkliwa pianą okrywają kępy
w sen otulonych traw,
zmieniają się w głośnie skargi
i bez ustanku
płyną do Twoich zórz...

Niechaj rozszarpią na strzępy,
na krwawe szmaty
łuny świtowe, powstałe nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
ogromne, przez Szatana zapłodnione światy,
a może przez Ciebie,
o Święty, Nieśmiertelny, Święty, Mocny Boże!

Dlaczego moje li wargi
mają wyrzucać krwawą pieśń?!

Płacz ze mną!

Dlaczego sam mam iść w tę przestrzeń ciemną,
choć żar południa pali się w przestworze?...

Dlaczego sam mam wlec się na rozdroże,
ku tym pochyłym krzyżom,
którym na czarne ramiona
kracząca siada wrona
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno?

Niech głuche żale nie głuchną!...

Idź ze mną!

Zrzuć z Siebie, Ojczy, nietykalne blaski!

Zgarnij ze Siebie tę bożą,
tę władającą moc, co nad wiekami
nieugaszoną płomienieje zorzą
i światłość daje światom,
i światy w swoim ogniu na popioły trawi!

Stań się tak lichy jak ja, i skulony,
i doczesności okryty łachmanem,
wlec się nieszczęsnym łanem
za kluczem w dal przymgloną ciągnących żurawi,
ku cichej, na rozstajach kopanej mogile
zapomnianego człowieka!

Albo w swej całej, wiekuistej sile,
w całej potędze wszechmocnego bytu,

stań przy mym boku
i duszę moją rozszerz do Swego bezmiaru,
i oczy moje, w smutku zapatrzone strony,
rozewrzyj, królu globów pełnych żalu,
do nieobjętych orbit,
i wlecz się, wlecz się ze mną na samotne pola,
ku tym ostami porośłym przydrożom,
gdzie, kurzem obsypana, ślepa siadła Dola...

A wiatr rozwiewa jej włosy
i żwir jej w puste sypie oczodoły,
a słońce, rozpaliwszy bezdenne niebiosy,
pali jej żółte, pomarszczone skronie
i po policzkach leje strumień żaru,
w bezdźwięczną skórę piersi wysuszone zmienia
i wargi jej roztwiera, daremnie łaknące
ach! rzeźwiącego zbawienia.

A dzwon się rozlega,
z jękiem się czołga po spalonej łące,
z płaczem się wznosi nad umarłe błonia,
łkaniem wyschnięte chce poruszyć wody
i zrozpaczony zamilka u brzegu,
i znów się zrywa, i jęczy, i płacze,
i łka, i płynie, i płynie, i płynie
w tej rozplakanej godzinie...

A jako widna ta ziemia, wspaniała
wielką godziną konania,
nie pogrzebione wokół leżą ciała,
a ci się włoką, popędzani mocą

straszego lęku.

A każda głowa ku ziemi się słania
każde kolano się chwieje,
a krzyże posmutniałe drżą w wychudłych rękach,
a w wietrze chorągwie trzepocą,
a w martwym, niemym słońcu gromnice się złocą,
a Śmierć przed tłumem kroczy,
wielkimi kroczy odstępami
i z śmiechem na trupich ustach
wywija kosą stalową,
połyskującą w południowym skwarze,
A nad jej głową,
jak wieniec z czarnych ziół,
rozkwitłych podmuchem żałoby,
gdzie drzemią stuleci groby,
zgłodniałych kruków krążą stada
chmurą ściemnioną
i wysunawszy dzioby,
żądliwie chłoną
ten wiew, który idzie od ziemi -
trujący, śmiertelny wiew...
A ona, świata przebiegając smug,
kroki swe liczy na mile
i kosą zatacza łuk,
że jako zboże w dzień kośby,
tak pokolenia padają
na nieskończonym obszarze,
który jej mocy oddał się spokojny,
który jej mocy oddał się bezwiedny...

O dzwonu łkające prośby!
O szumie więdących drzew!
O Boże, Święty Boże! Święty a Nieśmiertelny!...

A ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką.
A dzwon się rozlega
w blasków słonecznych pozłocistym pyle,
opadającym na zielska przydroży,
na melancholię okryte przecznice,
na grób samotny
zapomnianego człowieka.
Kopcie samotny grób!
Niechaj w nim kości położy
ten, który z matki żywota
wyniósł nieszczęsny los!
Nieokiełzana gnała go tęsknota
za widmem bólu,
który sam jeden
wszechmocny posiada głos,
który sam jeden rozpieśnia
duszę słabego człowieka
w natchnioną pieśń,
zapładniającą światy...
Kopcie samotny grób,
pośród krwawników kopcie i dziewanny,
u stóp
próchniejącego krzyża,
gdzie w południowy skwar

bratnie się schodzą duchy,
tłum zapomnianych mar,
i wśród spalonej usiadłszy murawy,
jęk wyrzucają głuchy
z skrwawionych łon...
A jęk ten idzie po zzętych zagonach
razem z tą pieśnią, którą jęczy dzwon -
na rzyskach rusza porzucone kłosy,
czarnymi ożyn jagodami chwieje
i wierzb płaczących srebrne czesze liście,
i szumi w wierzchach czerwonych chojarów...
Kopcie samotny grób
tam, na tej miedzy szerokiej,
gdzie rośnie łopian chropawy,
gdzie srebrne lśnią się podbiały,
gdzie aksamitna bylica
rozpiera miękkie swe kiście!
Tam, gdzie ten parów
sączy resztkami wody,
gdzie ten wądolec ospały,
gdzie ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką,
gdzie się nad drogą kurzu wzbija słup,
kopcie samotny grób!
Gdzie ziemia pęka od żarów,
gdzie każda jej grudka
pełna jest znojów
i krwawych prób,
gdzie dzwon się rozlega,

gdzie w wietrze chorągwie trzepocą,
gdzie się gromnice złocą -
kopcie samotny grób!
Gdzie w dali pobłyskuje jezioro tęskniące,
gdzie jaskier więdnie na łące -
gdzie opuszczone mogiły -
te kopce poległych wojów
nielitościwy rozorywa pług,
rdzawe szablice wyrzucając z wnętrza,
dziś wroga zbrodniczy łup,
tam wy samotny, cichy, kopcie grób!...
Niechaj w nim kości położy
ten, który powstał z tej ziemi,
który miał w sobie jej trud,
jej tajemniczy jęk,
idący z głębin przestworzy
w południa senny skwar.
Niechaj w nim spocznie na wieki
ten, który zabrał z jej chat
żałniki łez
i czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres,
i z jej szumiących zbóż
zgarniał ten dziwnie przejmujący szum,
i w swoich dum
treść go zamykał, i w świat
jak wielką świętość niósł.
I żał go zdejmował,
że mu nie daną była moc,
by zmienić w tryumf te łzy;

że nie miał siły,
aby te szumy żałobne
w jakiś weselny,
w jakiś radosny hymn się rozpieśniły!
I obarczony przekleństwem najdroższych,
stanął na drodze w dzień tuczy,
jak krzew pogięty,
i z piorunami w zawody
rozpaczą grzmiał!
A burza huczy i huczy,
a chmur się kłębi wał,
a wiatr mu deszczem miecie w ślepe oczy,
a grzbiet mu drży jak brzoza wśród pustego pola,
a ślepa na przydrożu przykucnięta Dola
śmieje się dzikim śmiechem,
że się nie spotkał z echem
ten rozpaczliwy głos,
że go wchłonęły odmęty
tej burzy.
Że w tej nieśmiertelnej podróży,
w tej drodze znojnnej,
na tym zsieczonym łanie
upadł bezsilny człek,
do wichru zwałił się stóp.
Kopcie samotny grób!
A Ty, o Święty,
o Nieśmiertelny,
który swym jednym oddechem
wypełniasz wieków wiek,

Ty od powietrza, głodu, ognia i wojny,
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas. Panie!

Świat dół swój grzebie
od pierwszych dni,
a w obramieniu Trójkąta
Twe oko lśni
nad węglem niebieskiej bramy...
A my wołamy do Ciebie,
a my wzdychamy,
Ewy nieszczęsne dzieci...
A z głuchym łoskotem
na trumnę sypią się grudki
ziemi oblanej potem,
ziemi oblanej krwią...
A naokoło zapadłe mogiły
i cicho łkające smutki
wśród trawy, co z cichym szelestem
pożółkłe liście kołysze.
A światłość wiekuista biednym ludziom świeci
w tę podróż ciemną...
Jestem!
I Ty jesteś tu ze mną!
Przerwij tę ciszę!
Niech Twoje słowo gromowe
zagrzmi nad wielkim cmentarzem!
Radosne niech głosi nadzieje!

Niech zapomniani wstaną,
a żywym niechaj życie nie będzie ponurym,
wieki kopanym dołem!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Z kornym błagamy czołem!
Spuść Swoją łaskę na tę naszą głowę,
na oczy zmroczone łzami!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Daj spiekłym łanom
rzeźwiący deszcz!
Nie zsyłaj gradu,
który nam zboże zsiecze, nim dojrzeje...
Nie trać naszego dobytku
w owcach i koniach!
Trzymaj z daleka pomory,
które nam biją
ostatnią krowę z obory!
Ze żyta wypleń sporysze
i chwast kąkolu
i w rękę trzymaj te chmury,
by się nie rwały
i nie topiły w ulewie
snopów na polu!
Niechaj nie płaczą stulecia!
Niech mróz spóźniony nie warzy nam kwiecica
na ledwie rozkwitłym drzewie,
na naszych wiśniach i gruszach,
na naszych starych, pochyłych jabłoniach...
I wdzięczność rozpal nam w duszach,

byśmy Twe dary godnie oceniać umieli.
O pełen kary
i przebaczenia pełny!
Chociaż ci nasze te grzechy utrudnią
stanać nad nimi z powieką zamkniętą,
niech Twoja litość stokroć większą będzie
niżeli wszystek nasz grzech!
O Panie!
Nie daj wysychać studniom!
Niech się Szatana nie rozlega śmiech!
Na naszej grzędzie,
gdzie ciężki trud rozpoczęto,
niech trud ten żniwem się stanie!
Spraw, aby w wielkie, uroczyste święto,
w tę chwilę wesołą,
gdy na organie
i śpiewem, i kadzidłem wielbimy Twą moc
i dobroć Twoją,
nie była dla nas potrzeba
skąpić dziecinom chleba!
Chroń nas od zdrady
i daj nam tyle,
byśmy we własnej spoczeli mogile;
by nasze dzieci czy wnuki,
gdy przyjdzie im dla ojców starych kopać grób,
nie były przymuszone iść między sąsiady
i prosić o jałmużnę, ach! na cztery deski,
na prostą, białą skrzynię z naznaczonym smołą
krzyżem u głowy...

Ojcze niebieski!
Na pokropienie daj
i aby grosz był gotowy
dla dziadka proszalnego, co w gorącej wierze
ciche odmówi pacierze...
A jeśli ziaren swych łask
nie zechcesz równać strychnulcem
po brzegi swej szczodrej ćwierci,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
racz nas zachować. Panie!
I niechaj w wietrze chorągwie trzepocą,
niech się gromnice złocą,
niech blask ich płynie w ten słoneczny blask!
Pogrzebne niech zabrzmiały śpiewy
nieszczęsnym dzieciom Ewy!
Padłym na znojnym łanie
niech dzwoni żałobny dzwon,
niech szumi z tej trawy szelestem...

Święty Boże! Święty Mocny!

Jestem!
Jestem i płaczę...
Biję skrzydłami,
jak ptak ten ranny,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionym
patrzeć w blask słońca...
A u mych stóp

samotny kopią grób,
a czarna wrona,
na Bożej męki usiadłszy ramiona,
bez końca
kracze i kracze,
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno...
A ci się wloką,
światlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,
jak cienie,
do wielkiej się wloką mogiły...
Za nimi dziewanny
z piaszczystych wydm się ruszyły,
z miedz się ruszyły krwawniki,
spoza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumił w wądolcach
i z mułu otrząsnąwszy pachnące korzenie,
idzie wraz z niemi...
Z mokradeł kępy rogoży,
z przydroży
osty o żółtych kolcach,
szerokolistną łopiany,
senne podbiały,
fioletowe szaleje,
cierniste głogi
wstały
i idą...
Liśćmi miękkimi
wierzb zaszeleścił rząd
i w cichej, rozpaczliwej sunie się żalobie

śladem ich drogi...

Całe rżyskami zaścielone łąny

oderwały się w tej dobie

od macierzystej ziemi

i niby olbrzymie ściany

wzniosły się w górę i płyną

tą wielką żalu godziną...

A Ty, o Boże!

o Nieśmiertelny!

o wieńcem blasków owity!

na niedostępnym tronie

siedzisz pomiędzy gwiazdami

i głową na złocistym spoczawszy Trójkącie,

krzyż trójramienny mając u swych nóg,

proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złotej

i ani spojrzysz na padolny smug!

Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!

Słońcom naznaczasz obroty,

gasisz księżyce,

jutrznie zapalasz i zorze

i płodzisz zasiew na byty,

na pełne cierpień żywoty,

które tu muszą mrzeć,

w samotny kłaść się grób...

Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!

O Boże!

O Mocny!

Ty się upajasz wielkością stworzenia,

po tym śmiertelnym wygonie,

Jak bedłki tak jarmużu syty ginie lud.
A jako ryczący lew
Szatan po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zradną sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi,
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...
Podpala nasze stodoły
z garstką zwiezionych świeżo zbóż,
mordy narodów wszczyna i pożogę
sieje na miasta i wsi,
i przekleństwami znaczy swoją drogę...
O zniszczeń dymiące dni!
A my, ten ród potępiony,
krzyże ująwszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie,
trupimi piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głodzie
a pośród nas tu głód!
w ten znojny,
w ten nieszczęśliwy czas,
w którym konają wieki
i wraz się rodzą nowe
na cięższą jeszcze niedolę -
idziemy, biedną pochyliwszy głowę,

jak ten zsieczony las -
idziemy, a kres tak daleki!
A lęk niespokojny
biczem popędza nas
i dech zapiera wśród łon...
A naokoło rozlega się dzwon,
na to cmentarne przelewa się pole,
na te wyschnięte rzeki,
w chojary żałobą swą godzi,
że te się kładą na piaszczystym łanie...
A pierś nasza łka,
a w oku błyszczy łza,
a ptak ciężko ranny
uderza w skrzydła krwią ociekające,
a jaskier więdnąc na łące,
a z nami idą dziewanny
i krwawnik, i wodne lilije,
a mór nam bydło bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozplenionej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął bitwie,
a Złe urąga modlitwie...
Cóż z nami się stanie!?
O Ty, łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas, Panie!...

Nie skłonił się jeszcze dzień,
a Szatan z moczarów łożyska,
gdzie nocą ognikami błyska,
z czeluści błota wstał
i gdy najkrótszy słońce rzuca cień
na te manowce, na te ścierniska,
pod ramię chwycił Kościotrupa
i wzrósł nad jego niebosięgłą stal -
nad Ciebie, Boże, wzrósł!...

Maszli Ty grom -
Maszli Ty chmurę w ten południa skwar,
aby z niej piorun padł
i od Szatana uwolnił ten świat?...

Wal błyskawicą, wal!
Niechaj się łamie,
niech się rozkruszy ta zdrada,
która nad życiem i nad śmiercią włada!...

.....

Szatanie!

Ty Kościotrupa chwyciłeś pod ramię
i nad wysokość jego ostrej kosy
wzrosłeś w niebiosy -
a grom nie pada!

Z nieukojoną żalobą
klękam przed Tobą!
Zlituj się, zlituj nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega
i w strasznej pieśni brzmi...

Szatanie!

Kop mi samotny grób
na opuszczonym łąnie,
u krzyża czarnego stóp,
pod gliny powłoką rdzawą!
A iżby nie porósł trawą,
tańcz na nim taniec piekielny
po wszystkie dni!...

A Ty, o Święty!

A Ty, o Mocny!

Ty Nieśmiertelny,

proch gwiazd przesyj w Swej klepsydrze złotej

i płódź żywoty,

aby tak klęły jak ja;

aby płakały jak ja;

aby w szarpiącej modlitwie,

co jako dzwon ten łka,

o zmiłowanie prosiły;

aby się wlokły z gromnicami w dłoni

ku tej nieznanej ustroni,

do tej - ostatniej mogiły;

aby tak wyschły jak łza,

którą już oko me płakać nie może;

aby tak marły jak ja -

o Święty, Nieśmiertelny! Święty, Mocny Boże!

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA

On był i myśmy byli przed początkiem -
niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
zanim się gwiazdy i słońca
jęły rozbijać w swych kołach,
zanim się stało to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
o duszo, spragniona spokoju!
On był i ty w nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tym kamiennym, ślepym przerażeniem...

Dzień mój przygasa -
za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
krwawą za sobą zostawiając zorzę,
która się czepia ogniami
tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
zatartych śladów moich stóp.
Dzień mój przygasa, ten złoty,
ten lazurowy, ten słoneczny dzień,
w błogosławieństwie swych drogich promieni
wiążący klątwę dla człeka,
dla zbłąkanego pielgrzyma.
Niech gaśnie! niech ginie!

Niech upragniony nadejdzie już wieczór
ze swoją ciszą wieczystą,
która ci mgłami szepce miesięcznymi,
że zanim miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tym kamiennym, ślepym przerażeniem,
On był, i myśmy byli przed początkiem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy od cichych pól,
od rżysk i rzecznych pobraży,
od przecznic i od ugorów,
od wypaczonych chat
i od tych stodół zwietrzałych
chłopięca płacze piosenka:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrnosiny,
gdzie ten szumny gaj!
Pani pana tam zabiła,
zieleni się, hej! mogiła,
zieleni się, hej!
A cierniste krzewię głogu
świat swój sypie po rozłogu,
s szept idzie z kniej!...
A dusza słucha i słucha...

A dzień jej przygasa,
I ona śladem tęsknicy
płynie rozlewną falą księżycową,
rosami płynie, lśnięcymi na łąkach,
i wierzchołkami ukojonych drzew,
i grzbietem białych gór
ku onym dniom zapomnianym,
gdy miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani kamiennym, ślepym przerażeniem.
Przestwórz się przed nią rozszerza
I przepelniony wiekuiwą nocą,
topi w swych głębiach wszystko, co ją zmgło
urągowskiem i grzechem,
i wypełnioną pokutą,
wstydu i hańby pociemniałą twarzą,
i podeptaniem świętych, bożych praw,
i krwawą zemsty pochodnią,
i bólu, bólu strasznego
tak pożądanym, a tak żrącym widmem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...
Na senne kwiaty wystąpiła rosa,
na łąk płaszczyny, na ciemny łan zboża,
a ona siadła na brzegu jeziora
i rozmodlona patrzy w jego głębię -
i oparami wznosi się nad wielką,
nad uciszoną, rozmodloną wodą -

i słucha, i patrzy, i szeptem
swoje wieczyste pacierze.
Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
w bagniskach dzikie obzywa się ptactwo,
a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju
w samotnej chacie połyskuje światło,
a tam! z daleka cicha idzie Śmierć.
Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
rozkoszej woni piosnka się kołysze,
nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tym weselu,
o tym cudownym, ukrytym ziele
zza siódmej góry, zza siódmej rzeki,
które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
pieśń się kołysze po krzaczach, po lesie,
po falach żyta pieśń się kołysze
w tę uroczystą, wieczorną ciszę,
a w ślad za pieśnią cicha kroczy Śmierć.
Wyszła z dziedziny, gdzie miłość i spokój
nie są-ci ogniem trawiącym
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennym, ślepym przerażeniem,
i w świat podąża, ku onym rozstajom,
k«temu pustkowiu, ku chacie samotnej,
k«temu słabemu, czerwonemu światłu...
Ścieżyną zdąża i traktem szerokim,
po drodze zerwie jakiś kłos zielony
albo też listek topoli

i w zamyśleniu rzuci je pod nogi.
Lekkiemi stopy przygnie jakąś trawkę
lub owad zdepcze na miedzy,
albo swą długą, białą, przeźroczystą
zanurzy rękę w staw
i jego srebrną powierzchnię
powlecze rdzą opałową.
Czasem w tym swoim pochodzie
siądzie na chwilę pod krzyżem pochyłym
na opuszczonej mogiłce
i głowę ukrywszy w dłonie,
głębokim jękiem zapłacze,
rozlewającym się na okrąg świata,
a potem wstaje i traktem rozległym
albo miedzami idzie znów wśród zbóż
k«temu pustkowiu, gdzie w chacie samotnej
czerwone, słabe połyskuje światło.
A za nią snuje się smuga
sinych oparów i mgieł,
na których ciężkim, dalekim obrzeżu
zachodnia krwawi się zorza...
Czemu nie gaśniesz, ty zorzo?...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera!
Czemu nie gaśniesz?!
Ach! jak się w twoich płomieniach
pałą te grona jarzębin!
Jak się rozżarza ten żwir -
ten szary piasek na drodze pątniczej!

Wybaw człowieka, o Panie,
od żagwi gniewu Twojego!
Dusza ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś -
śród koralowych jarzębin,
przy rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
przy tajemniczych pogwarkach tych lip,
rozkołysanych Twym świętym oddechem...
Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrót kościoła
i psalm Ci śpiewa, tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na rozżęczone mgławice kadzideł
kładą się dźwięki organów,
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływają ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej u progu świątyni.
Grona jarzębin rumienia się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze, rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wlatują gołębie,
a w rozmodleniu milczącym,
na skrzydłach psalmów tak wiecznych
jak wieczna ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie.

Bo gdzież jest większy Pan i król, i władca?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebieś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienie Swoje zamknął w prochu ziemi
i wicher piersiami oddycha Twojemi,
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
wraz z duszą globów świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem, i listkiem,
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś Wszystkiem,
i przez Cię Wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc Ci równa? gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry Twej dosięga?
Gromem przemawiasz w łyskającej tuczy,
głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Strasliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże.
Bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
tej nieskalanej, pokornej i cichej!...
On był i myśmy byli przed początkiem -
chwalmy i wielbmy Jego święte imię!

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo,
nad oceanem tych ciężkich oparów,
co pochłonęły me słońce?
Księżyc się dźwignął ponad węża gór,
osrebrza brzegi obłoków,
lśni się na rysach śnieżystych;
od wschodu pełza cicha noc,
stoki swym wielkim przytłacza spokojem,
a ty się palisz!
Stamtąd - od nizin dalekich,
usypiających poza stu wodami,
poza tysiącem dróg,
jakiś się echo przyczółguje w duszę -
Cicho!

To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki:

A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!

Uliniłem cię z wierzbin,
gdzie ten ruczaj srebrnosiny,
gdzie ten szumny gaj!

Ach!...

Przeoratem łąn o świcie -
od pola do pola,

kąkól wyrósł w moim życie,
dolaż moja, dola!
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!...
a grajże mi, graj !...
Czemu się żagwisz?...
Niech raz już wszystko zagaśnie!
Jarzębina się rumieni,
szepcą lipy stare,
suchy piasek się podnosi - - -
Czemu nie milkniesz, ty zorzo?
Dlaczego krzykiem ognistym,
wyrzylającym z tych przepastnych szczelin
pomiędzy dwiema piekielnymi ścianami,
tak mnie oślepiasz i tak mnie ogłuszasz,
że dojść nie mogę do kresu?
Dzień mój już przygasł,
a zorza jego się krwawi,
jakby się krwawić miała w nieskończoność!...
Wszystko pożera swymi płomieniami -
duszę mi pali i świat cały pali!
Z olbrzymich snopów ognia,
jakby młóconych niewidzialnym cepem,
sypią się ziarna skier
w okrąg na niebo i ziemię!
Księżyc się zajął
i w mgnieniu oka wyrósłszy
w ogromną kulę ognistą
zaczyna rwać się w kawały

i płomiennymi wali się bryłami
na cielska płonących gór,
na popiół smreków spalonych.
Płoną jeziora, sto wód się pali
i tysiąc dróg!
Z rozszalałego wnętrza ziemi
ogniem buchają wulkany,
gwiazd miliony tną błyskawicami
spieniony potop płomieni
i z hukiem
giną w czeluściach czerwonych...
Boże!
Czemu mnie karzesz?
W tych rozżarzonych stanąłeś przestworzach,
cały splemienion, większy niż przestwory,
z krzyżem ogromnym, płomienistym w dłoni
i rozżagwiony rzucasz na mnie świat...
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
i prześladowan był przez grzech - do końca l
Moja to wina!
Bo oto moja nieprawość,
mnoga jak iskry tych ogni,
przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!
Ojcam się wyparł,
a kiedy zamknął powieki,
krzyża-m na jego grobie nie postawił,
bom go nie prosił o garść tego błota,
o nędzny żywot ten!

Moja to wina, moja wielka wina!
Matkę-m wypędził z domu, by nie jadła
strawy, porwanej większym niż ja tchórzom -
a wypędziłem ją w czas, gdy nad ziemią
przebiegał tuman nawałnic,
aby jej w drodze, w bezludnym pustkowiu,
oczy wyżały błyskawice,
a dąb, walący się od gromu,
aby ją przygniótł swą kłodą na wieczność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Ośleplą siostrę spotkawszy zebrzącą
u wrót wspaniałej katedry,
nie czułem tyle odwagi,
aby się dotknąć jej ręki wyschniętej
i na jej krwawe wskazując orbity,
głupim powiedzieć lwom i pustym lwicom:
Idźcie l mnie łaski waszej nie potrzeba -
to siostra moja! przy niej mi pozostać!
Moja to wina, moja wielka wina!
Psa, który zaszedł mi drogę
i z głodu zęby wyszczerzył,
i miłosierne wlepił we mnie ślepie,
kopnąłem nogą,
aż ze skowytem padł pod moim płotem!
Robaka-m zdeptał -
tysiące owadów
miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem,
ażeby duszę znudzoną
orzeźwić wschodem lub zachodem słońca.

A pnać się w górę, ku rzeźbionym grotom,
ku tajemniczym snom stalaktytowym
albo ku wirchom, skąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu,
kazałem ścinać pachołkom
gałęzie smreków młodziutkich,
gdyż iglicami drażniły mi skronie...
Zabiłem brata,
bo mi się worał w miedzę
i naręcz owsa mi wyżał
dla swego konia -
moja to wina, moja wielka wina!
Chęć mi raz przyszła obłądna,
ażeby kopać dla siebie mogiłę,
bo mi się życie stało cmentarzyskiem,
i w tę mogiłę wtrąciłem bliźniego,
tak że oszalał między umarłymi!
Moja to wina!
Uwiodłem żonę przyjaciela -
moja to wina!
Pod próg sąsiada kazałem podrzucić
dziecko zrodzone z mego rozbestwienia.
A raz to grzech mi tak zaciemnił oczy,
żem po omacku szedł w przepastną głębię
straszego lasu
i jadowite wyszukawszy ziele,
świat nim stłumiłem w poczęciu.
Moja to wina, moja wielka wina!
Nie karz mnie, Boże, według moich zbrodni!

W tej gniewu Twego straszliwej godzinie
świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie!
Wielka jest moc Twa i wielka potęga,
lecz czyjaż dobroć Twej dobroci sięga?!
Rozpalonymi namiętnością dłońmi
umiałem skazić niewinną wstydlivość,
nim się w słoneczne rozwinęła kwiecie.
Podstępnie owoc zerwałem dziewiczy,
słowem, któremu dała moc obłuda,
wielbiąc zbawienie z miłości,
a sobiem szeptał jak złodziej, co w każdym
widzi złodzieja: rwij, nim przyjdzie inny!
Za grosz kupionej rozpuście
dałem się wlec po kałużach
albo gdy przesyty wypił ze mnie krew,
jak widmom stawał u bram lupanaru
i żrenicami zmienionymi w szkło,
przez które ognia przezierał ostatek,
zazdrościem śledził takich jak ja - trupów,
by ich rozkoszą zwałoną
podzegać w myśli mą rozkosz przymarłą.
A nieraz podłość tak mi żarła duszę,
że chcąc wypełnić jej pustkę,
małom nie szeptał błędzącym przechodniom:
Nie tymi drzwiami: tamte wam poradzę.
Moja to wina, moja wielka wina!
Związane ślubami,
które mi jarzmem się stały,
a sił nie mając otwarcie

zrzucić ze siebie tych błazeńskich dzwonek
arcykapłana domowych ołtarzy
i iść, gdzie w słońcu południa,
śród woniejących ogrodów
krwawo się złoci zakazane drzewo,
dawałem w duszy przystęp takim szeptom:
Niechajże Szatan się zjawi
i niech uwikła w sieć swojej pokusy
tę, co mi ongi była mocą szczęścia,
a dziś mnie dusi swą cnotą!
Wówczas jej krzyknę: podłaś! i już czysty
w nędznym sumieniu pójdę spełnić zdradę!
Moja to wina! moja wielka wina!
Oto jest miłość! oto jest to źródło,
z którego bije szlachetność!
Moja to wina! moja wielka wina!
Panie!
Wszystkie ja grzechy wziąłem na swe barki,
bom-ci ja człowiek, bom urodzon w bolu,
bo żal i rozpacz, i przestach,
i wyczerpanie, i siła
są przyczynami mojego istnienia...
Spłonąłem chucią do mej własnej krwi,
do matki mojej i do córki mej!
A w noc tajemniczą,
kiedy przed moim pałacem,
wzniesionym z mgławych majaków,
przedziwne kwiaty o zbieleńszych oczach
rozrzechotanej Meduzy

do jakichś strasznych rozmiarów
w mżach wyrastały miesięcznych -
kiedy się księżyc skradał do mych komnat
i kładł na łożę mego wyczerpania,
wówczas mnie ze snu budziła lubieżna,
sprowadzająca warg bezwładne drgawki
i źrenic błędną gorączkę,
potworna żądza ku Twemu - zwierzęciu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Oto jest miłość! Oto jest krynica,
z której wypływa zwycięstwo nad piekłem!
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Karz mnie!
W tym rozżagwionym przestworze
masz krzyż z płomieni, większy niż ten przestwór,
więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie! ongi przed początkiem,
kiedyś się zmuszał, by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe, ślepe przerażenie!
Kiedyś ze swego spokoju
i swej miłości
wydzielał słońca i gwiazdy,
by rozbijały się w swoich elipsach,
aby się stało to, co nas pożera!
Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie

z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie.

Wagę masz w ręku i miecz sprawiedliwy,

z którego lecą skry na ludzkie niwy,

a pomsty Twojej płomienna potęga

od pokolenia w pokolenie sięga.

Krew nam wysusza i pożera kości

wieczysta wszechmoc Twej zapalczywości -

żadna się przed nią groza nie ostała:

Niechaj Ci za to będzie cześć i chwała

na wieki wieków, Amen, Amen, Amen!

Panie!

Kłamałem!

Zawiść i zazdrość tuliły się do mnie

zzółkłymi tony i nagością swoją

opanowawszy mą duszę,

kazały zezem patrzeć mi na sławę

i na bogactwo rodzonego brata.

Kradłem -

w kościele Twoim rozbiłem skarbonę!

Moja to wina, moja wielka wina!

A raz w czarownym, wielkim, ludnym mieście,

spiesząc ku śmierci, która czeka na mnie,

chciwie wstrzymałem krok przed stosem złota

i błyskawicą, która idzie z Ciebie -

moja to wina, moja wielka wina!

myśl mi przebiegła haniebna:

tak! wymordować czcicieli Molocha

i potem - zająć ich miejsce!

Panie!

Falszywym byłem prorokiem
i nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
przeciwko Tobie, tak jak dzisiaj bluźnię!
Krzywdy-m ja bratu nie przebaczył,
choć sam krzywdziłem - jak oszust!
Pogardę niosłem tłumowi,
jego szerniałym, spracowanym dłoniom,
jego łachmanom przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
i wzięwszy jabłko do ręki i berło,
kazałem klękać przed swymi rozkazy,
jakby nie było Twego majestatu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Okręty słałem na spienione morza,
a w bitwach, w moim wszczypanych imieniu,
tysiące kładły się we krwi swej własnej,
a wszak Ty jeden masz prawo
na życie człeka wydawać wyroki!...
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek skazany na karę,
bo dzień mój przygasa,
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas -
moja to wina, moja wielka wina -
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani zabójczą tęsknicą,

ani kamiennym, ślepym przerażeniem...

A grajże mi, graj!...

Jarzębiny się rumienia -

suchy piasek się podnosi -

A grajże mi, graj!...

On był i myśmy byli przed początkiem,

zanim się stało to, co nas pożera...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,

kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!

kiedy na wieki - na wieki

gaśnie jej dzień - - -

O BOHATERSKIM KONIU I WALĄCYM SIĘ DOMIE

[1906]

BALLADA O BOHATERSKIM KONIU

Panie i Panowie!

Oto koń, na którym sir Raleigh Haywards zwycięskim dowodził pułkiem przeciwko zbuntowanemu chłopstwu w Transwału.

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

Jadał cukier z ręki generałowej, szczególną obdarzającej łaską jego pana, a słynna z piękności miss Ellen zaplatała mu grzywę w wstążki, nabyte w znanym z doborowych towarów magazynie J. M. Freebody & Debenham na Wigmorestreet 44 (czterdzieści i cztery!).

Był czas, że koń ten złociste nosił podkowy.

Na głos surmy uderzał nimi o ziem, parszcząc niecierpliwie i gryząc uździenicę, albowiem nie mógł się doczekać chwili, w której się rzuci na wroga.

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

W takt orkiestry wracając po odniesionym tryumfie do miasta, szedł jak baranek: spokojny był o przyszłość kraju.

Najadł się owsa i nie brykał: w wojennej tylko wrzawie rwał się ten koń bohaterski i pieniał, jakby chciał wieszczym krzycheć głosem, iż życie jest tylko drogą do wspaniałej śmierci.

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

Ta łagodność jego, stosowana w odpowiedniej godzinie, sprawiała, że równie bohaterski i w odpowiedniej godzinie równie łagodny pułkownik dał go pod wierzch swej niedawno zaślubionej żonie, jak wiadomo, bogatej córce właściciela kantoru wymiany b. p. sir Izaaka Hanfstaengla.

Dosiadała go pani pułkownikowa i o jutrzni, po snach niespokojnych, pędziła ku parkom, ranną zlanym rosą, gdzie woda w szerokim srebrzy się korycie, gdzie - Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące - trawa jako aksamit ściele się pod stopy zabłąkanego wędrowca; gdzie - Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące - potężne konary dębów tajemniczym szepcą pogwarem pieśń o nieskończoności.

Uwiązany do odwiecznego pnia ogryzał krzak berberysu, a subtelna jeźdźczyni wczytywała się w „Dziewicę jeziora”.

Ale niestety! Znikome jest szczęście ludzkie, a jeszcze znikomsze byłoby szczęście końskie, gdyby nie cudotwórczy postęp, który dla wyprostowania złamanych duchów stworzył tę instytucję.

Błogosławionej pamięci sir Izaak Hanfstaengl pofałszował weksle i umarł z zgrzyzoty -

Tragedia chodzi po świecie z zakwefionym obliczem -

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące -

Pułkownik, który według zasługi powinien był zostać księciem Johannisburgu lub wicekrólem Indii, zgrał się na giełdzie i ogłosił bankructwo.

Bohaterskiemu koniowi oderwano podkowy i stopiono je na złoto, a gdy zabrakło owsa, oddali go za bezcen - wychudły był i melancholijny - pod biczysko pospolitego rozwoziciela jarzyn.

I tum go odkrył.

Znałem jego przeszłość, bo któż z nas miałby odwagę się przyznać, że nie jest świadom dziejów ojczystych?!

Nie mogłem dopuścić, aby tak zmarniał haniebnie, on, ten koń nad konie - o nie! ten rumak nad rumaki, który przy dźwięku surm nieustraszenie szedł na nieprzyjaciela -

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

On, który nieomal wieszczym krzyczeń mógł głosem, że życie jest tylko drogą do wspaniałej śmierci.

Powiedziałem sobie: Niech służy nadal sprawie publicznej, i wróciłem go społeczeństwu.

Za chwilę, pod szpicrutą miss Jane Woodrow, będzie jak dawniej, na polu bitwy, ponadmiar wysokie brał przeszkody; jak uskrzydłony, przebijać się będzie przez cztery obręcze na raz, zręcznie wyrzucanymi kopyty o! .tych szklanych nie uszkodzi baniek.

A kiedy nadejdzie ostateczna jego pora -

Tragedia chodzi po świecie z zakwefionym obliczem -

Panie i panowie!

Panowie i panie!

Raczie mi wierzyć:

Nie oddam go pod nóż prywatnego hycła, ale skórę zedrze zeń oprawca municypalny, a może nawet uda mi się przekupić głównego rakarza państwa; wspomnienie pośmiertne pojawi się

w dziennikach, krajowych jako i zagranicznych, a wy, obywatele, składajcie już dzisiaj grosz do grosza, aby ta chwila nie spadła na nie przygotowanych, abyśmy godny wznieśli mu pomnik, z jaśniejącym na froncie napisem:

BOHATERSKIEMU KONIOWI

WDZIĘCZNA OJCZYZNA

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

MODLITWA EPISJERA

Półtora tysiąca lat i więcej protegowałeś. Panie Boże, księży i markizów.

Rozbijali po otwartych drogach, naszymi rękami wznosili zamki i pałace, a gdy nam już sił zabrakło i batog bez skutku ześlizgiwał się po krwawych plecach, szli o pomoc do tamtych, izby majakiem Łaski lub przypomnieniem kar piekielnych wiedli nas ku nim na twardym rzemieniu posłuszeństwa.

Ale skończyła się pokora ludu: głowy ich padły pod mieczem Sprawiedliwego, a na miejscu Bastylli, w której godność człowieka marła w obłąkaniu, otwiera nam dzisiaj szlachetny weteran drzwiczki do wnętrza Kolumny Lipcowej.

I po dwustu trzydziestu i ośmiu stopniach wchodzimy na nią swobodnie: pod złożonymi skrzydłami anioła Wolności możemy krzyknąć: „Niech żyje Francja!” i dawszy folgę oku, radować się dumną Sekwaną, patrzeć z uczuciem ulgi w piersiach, jak symbol współczesnego ducha, potężna wieża Eiffla, panuje bijącym w niebo żelaznym rusztowaniem nad kamiennymi zabytkami Zabobonu.

Możemy puszczać wodze tęsknocie aż gdzieś ku niebieskawym borom Fontainebleau, lub też podziwiać wrodzone człowiekowi poczucie piękna, które z Buttes-Chaumont, z tych ongi łysych, opuszczonych gór, z tego odludzia straceńców, z tego - że tak się wyrażę - jeneralnego śmietnika stolicy uczyniła dziś dla nas wiosenną zatokę wytchnienia.

Drzewa tam szumią, woda w cementowym szkli się basenie, poprzez mosty wiszące, wśród poszarpanych, czarnych skał, fantastyczne wzdłuż wiotkich poręczy wiją się drożyny, to się

gubią, to się jawią, a pary zakochanych błogim uśmiechem towarzyszą ich skrętom!

Wiem, Panie Boże, iż w owych dniach gniewu i pomsty uczyniliście Ci krzywdę: wyrzucono Cię sromotnie z Nôtre-Dame! W Świątym - sit venia verbo - Sulpicjuszu na ołtarz Twój posadzono Boginię Zwycięstwa i u stóp Jej, w cześć bohatera spod piramid, wylewano strugi najsolidniejszego produktu naszej Ojczyzny.

Atoli czas przedziwnym jest lekarzem; przebolełeś to wszystko, przebaczyłeś, bo któż odpuszczać powinien, jeśli nie Ty, Panie Boże, ucieleśnienie wszelkich doskonałych przymiotów!

Dlatego też, ufniejszy od dziecka, zwracam się dzisiaj do Ciebie; zresztą Tobie jednemu wyznać to mogę, gdyż Ty jeden świadom jesteś wszelkich tajemnic: Jeśli nie zawodzą tradycje rodzinne, mój praszczur wiernym był stajennym królewskiego marszałka, a żona jego postępowała w szeregu z sławnej pamięci panią Szarlotą Corday.

Eh! Voila! Tyle mi się nagromadziło trosk i potrzeb, że nie wiem, którą z nich najpierw polecić Twym względom.

Jeżeli jednak łaskawość Twa nie ma kresu, spraw, iżby mój sąsiad, pan Rabattet, jak najprędzej dobił targu z hrabią de Contrexeville, zwinął swoją likiernię i wygodnie się urządził na wsi. Rozumiem, że syty będąc niedzielnych przejażdżek po Lasku wynajmowanym fiakrem, pragnie własne mieć konie i park zamknięty dla innych.

Nielitościwy to i niebezpieczny konkurent: wódką bije mi wina; ofiarowałem mu spółkę, odmówił. Zjednął sobie Kartezjanów, oddali mu wyłączne na kontynent zastępstwo, a z Combesem - tak się chwali - na jednej siadywał ławie.

Uczęszcza na doroczne święcenia kleryków, a nieprzyjaciołom kościoła mówi po cichu, że po to, by się przekonać, czy nie zmniejszył się w nim wstręt do Przesądu: „zresztą - dodaje - lubię dekoracje, w operze czy w katedrze, nie ma dla mnie różnicy”.

Niech w Baku palą szyby - walka o wolność zawsze jest święta - a w zagłębiu borysławskim, w kraju na pół dzikich, dostatecznie głupich barbarzyńców, gdzie się zaangażował na sto tysięcy franków, spraw, iżby ropa tryskała obficie.

A gdyby i tam niezadowolona zawsze kanalia zechciała wziąć rozbrat z prawem, miej w swej opiece tych Francuzów północy, podnieś na targach wiedeńskich cenę ich bydła, by z biedy nie tracili głowy i niezbędne stawiali kryminały.

Panie! Wyznam otwarcie: chciałem się odwrócić od Ciebie, boć niegodnym jest człowieka postępu, aby wykraczał poza granice wzroku, a ja Cię nie widzę!

Jednakże w łonie naszym jest jakieś tajemne, niepojęte drganie, które nam szepce, że z śmiercią nie wszystko się kończy!

A może to tylko złuda?

Może to nie strawiona resztką pokarmu, którym opychały nas wieki ciemnoty ?

Nie! nie!... Jakżeż przypuścić, aby dusza moja nie była nieśmiertelną!

Ciało z ciała, doczesność z doczesności, zaś wiecznym jest tylko to, co z wiecznego wyrosło!

Codzienne uczy nas doświadczenie, że wszystko, co żyje, umiera: Jestem, więc umrę.

Zaś dusza trwać może wiecznie li wówczas, jeśli z wiecznego wyszła źródła; tym źródłem Ty się li zowiesz, albowiem nie przekonaliśmy się dotąd, byś umarł; że jesteś, mówi nam o tym wewnętrzna, elementarna chęć trwania!

Zresztą sam Pasteur wierzył w nieśmiertelność i Stwórcę.

A po wtóre, po trzecie, po ostatnie: każą mi czekać na legię, któż mi udzieli cierpliwości, jeżeli nie Twoja wszechcierpliwość.

Chcę kandydować, gdzież w tych czasach zamętu pojęć i prądów oświecające znaleźć błyski, jeśli nie w Twojej wszechwiedzy.

Któż odwróci nieszczęście od mojej lichej winniczki, jeśli nie Twoja wszechmoc!

Daj, by na starość zgrzybiałe nogi moje nie były zmuszone obijać się o miejskie bruki.

Niech tłum nie patrzy na mnie z zawiścią, że mam odrobinę więcej chleba - i ja jestem z ludu, więc rozumiem, co lud, a co męty i szumowiny -.

Przedsię współrepublikanie moi niech mi nie pocztyają za zdradę uczciwych, republikańskich przekonanych, że jedyną Mą Córkę, Me ukochane dziecko, powierzam ręką potomka tych starosławnych rycerzy, którzy ongi szli się pasować z pohańcem o Grób Twego Jedynego ukochanego Syna.

Panie! tchórzem nie jestem, i śmierci się nie lękam, lecz wdzięczny Ci będę, jeśli Twój Królewski Majestat - «il Vous plaît, mon Seigneur - zechce się ulitować nade mną i rozkaże, aby przyszła, że tak powiem — nie! po co myśleć dziś o niej, gdy czas mój, zda się, daleki?!

Raczej nie skąp mi i nadal zdrowia i siły, bym mężnie wytrwał w tej ciężkiej walce do końca.

Niech żyje Francja! Niech żyje Rzeczpospolita! Niech żyje Demokracja! Amen.

O WALĄCYM SIĘ DOMIE

Zbudowałem sobie dom i już się wali.

O mój walący się domie!

Trochę za prędko zmieniasz się w ruinę, prędzej, niż mógłby się spodziewać człowiek, który ma powieki otwarte na śmierć.

Wszystkiem obchodził pustkowia, wszystkie ugory i bezpłodne wydmy, kamienie-m wyrywał spod gęstwi zielsk i rów wykopawszy głęboki, że starczyłby mi za grób, rzucałem je tą ręką na fundamenty dla ciebie.

Raz, kiedym pobiegł w pole, szukając czworogranych głazów na narożniki, obsiadły mnie psy: omal ze śmiechu-m nie zginął, jak te zajadłe bestie szczyrzyły kły do mych pięt i jakie musiałem wyprawiać młyńce, aby nie zadać kłamu nauce, iż pragnienie życia silniejszym jest od żądy skonu.

A kiedy indziej takem się podźwigał, że leżąc w gorączce, urosłem w swych oczach na owego potulnika, który na Trupiej Górze pomagał Panu wyzwalać świat...

O mój walący się domie!

*

* *

Widzę, że zbyt wiele dostępujesz honorów,

ty mój walący się domie!

że zaczynam mówić o tobie, jako o czymś, co wartością przewyższa wór mąki albo statek, wiozący z dalekich krajów nici jedwabne na pończochy dla dam, albo godność człowieka, który na wielkim zgromadzeniu wdrapał się na stół i wśród oklasków Raj obiecuje tłumowi.

A przecież zbudowałem cię na odludziu, na pograniczu spraw, w których najprzenikliwszy mędrzec nie znajdzie związku z dukatem płaconym dziewczce ulicznej,

albo z chorągwaną, gromniczną ekshumacją zwłok zapomnianego artysty,

albo z niecierpliwością narzeczonej, umierającej z tęsknoty do podróży poślubnej w wygodnym, samotnym wagonie,

albo z tryumfalnym ogłoszeniem Rzeczypospolitej na gruzach monarchii,

albo z rozpaczą mamki, tracącej pokarm!

Nie dostrzeże związku:

z bohaterskim wodzem, z majakiem wstęgi orderowej w duszy prowadzącym żołnierzy w bój
za ojczyznę,

ani z zadowoleniem wołu wyprzęgniętego z pługą,

ani z dziennikarską reklamą dla konstruktorów nowej odmiany rytmu i dla wynalazców nowych sposobów czyszczenia kloak miejskich,

ani też z skowytem psa, co się wysliznął z pętlicy raka.

A może...

Ogromne, zielone płomienie jaworu nad moją głową.

Potok przewala po głazach roztopy seledynu.

Krzewy głogu krwawią się na czarnej, łupkowej, prostopadłej ścianie.

Mże sierpniowego południa snują się po łąkach i owsach ku niebotycznym góróm...

a wzrok mój osłabł...

A na pół ślepy będąc, straciłem miarę rzeczywistości: wyglądasz mi w słońcu na pałac, w księżycu na zamknięte, pełne widm zamczysko, a jesteś tylko przenedzną lepianką, ty mój walący się domie!

*

* *

Wzniosłem ci portal,

o mój walący się domie!

W blokach z czarnego marmuru wyrzeźbiwszy święte, stawiałem je na skrzydlatych gryfach, jeden nad drugim, izby tworzyli chór, niebiosom kamienne podający pieśni, wyśpiewane Duszy, która się zmogła ze Złem.

I mając przed sobą kosz jabłek z dzikich jabłoni, rosnących po miedzach, i garść fioletowych jagód z kęp leśnych, wyczekiwałem od rana do zmierzchu i od zmierzchu do rana, zali nie wejdzie do wnętrza twojego Ten, co serce ma z ognia i jednym tylko przemawia wyrazem: Wieczność.

I raz mi się zdało, że wszedł.

Padłem na ziemię z wyciągniętymi rękoma, a potem, zerwawszy się, szalony z radości, pobiegłem na drogi rozstajne, na ulice i place, przed kościoły i ratusze i jałem krzyżeć:

Jest!...

I to był mój śmiertelny grzech.

Albowiem znalazłszy skarb, trzeba go chować przed ludźmi.

Pytali się: kto?

Spieszcie zobaczyć, odrzekłem: Świątynię-m zbudował na pustkowiu; sfinksy jej strzegą, po piersi zanurzone w piasku, który je obsypuje od niepamiętnych dni; nie u was, lecz u mnie zamieszkał Bóg!

Roześmiali się, jednak, ciekawi, poszli.

Lecz przybywszy na miejsce, spostrzegli od razu,

o mój walący się domie! -

że próg twój, wyciosany z pnia sosny, zgnił od deszczów,

że okna, wybite kamieniami złośliwych wyrostków, pozaklejano papierem,

że na ścianach, nie bielonych od lat, zwiesza się brudna pajęczyna,

że stół się chwieje na spróchniałych nogach,

że zamiast krzesła położono deskę na czterech kołkach wbitych w ziemię,

że nawet figura Chrystusa, zapewne skradziona z przydrożnej Bożej Męki lub z opuszczonego klasztoru, w nienależytym poszanowaniu: tak ją popstrzyły muchy.

- A któż wy, że tak mi śmiecie uragać? - zawołam. -

Ty pierwszy lepszy z brzegu, znam cię! masz minę pospolitego fałszerza weksli!

Ty okradałbyś pryncypała, ale się boisz, by cię nie zamknięto.

O tobie, moja pani, wiem, żeś - do wyboru - siebie lub córkę ofiarowała staremu rozpustnikowi, panu X, z ulicy Y. Ma kilka kamienic i wieś - nieprawda?

A pani gaszek już wyjechał, czeka w Florencji, trzeba okłamać małżonka i za nim...

Ty ściskasz rękę i bywasz na kolacjach przyjaciela, któremu uwodzisz żonę, a ta, znieprawiona twymi karesami, mizdrzy się już do innych...

Ty lichwiarskie bierzesz procenty!

Ty szachrujesz z sobotnimi wypłatami!

Pani szeleścisz jedwabiem za krwawicę nędzarzy!

Ty kupiłeś utrzymanie bransoletę, a dzieci twoje chodzą obdarte i głodne!

Ty za hojnym porękawicznym sławisz po gazetach narodowe zasługi pospolitych wydrwigroszów.

A ty - -

O mój walący się domie!...

*

* *

Nie wywyższam się nad innych; nie jestem ani lepszy, ani gorszy od tamtych i dlatego też płakać nie będę nad tobą,

o mój walący się domie!

Lecz z Marginy lub Folies-Bergere zabiorę dziewczkę, pyszniącą się w przechodzonym płaszczu jakiejś bogatej damy, albo - szczerzej i otwarciej - najlichszego Cabaret au Coq w tandetnej, wełnianej spódnicy, oplotę ją resztkami bluszczu, który tak bujnie i smutnie piął się wczoraj aż pod twój dach, a dzisiaj padł ofiarą krów i pastuchów, i każę jej tańczyć kankana...

Niech tam jawor w zielonych stoi płomieniach!

Niech potok przewala po głazach roztopy seledynu!

Niech krzewy głogu krwawią się na czarnej, łupkowej, prostopadłej ścianie!

Niech mże sierpniowego południa snują się po łąkach i owsach ku niebotycznym górcom:

Ja klaskać będę w dłonie, że mocą byka wiedzionego na arenę, obramowaną strusimi piórami, lśnistymi skrzydłami krasiek i połyskującymi cylindrami, zgmiotłem w sobie już wszystko, co by mi przypominało procesję świętych, rytych w czarnym marmurze na portal dla ciebie,

o mój walący się domie!

Nie dam żebrakowi jałmużny i bez skrupułów zjem suty obiad; kosztownym upiję się winem i przy akompaniamencie dzwonów, w tej właśnie chwili witających jakiś kondukt, z omyłki wyprowadzać będę przyjaciół i towarzyszy, którym się zdaje, że wdowa w grubej żałobie, wiodąca dzieci na grób męża, nigdy go nie zdradzała, że w pomiętej, zblakłej twarzy tego

młodzieńca nie znamię wenerii widać, lecz klątwę światobawczych zmagañ z nędzą i upodleniem, że znany nasz filantrop w sposób uczciwy zdobył środki na publiczne ocieranie łez, że Duch zapanuje nad chlebem, że Bóg zamieszka w człowieku...

*

* *

O mój walący się domie!...

KSIĘGA UBOGICH

[1916]

WYBÓR

Poezje, zawarte w „Księdze Ubogich”, powstały w obliczu Tatr, na codziennych, samotnych przechadzkach w polu.

Nie ma między nimi ani jednego wiersza, który by miał jakiegokolwiek pokrewieństwo - z biurkiem. Tym się tłumaczy charakter tej „Księgi” zarówno pod względem treści, jak i formy - notatnik i ołówek, użyte na ukojenie siebie i innych.

Jan Kasprawicz

Rozmiłowała się ma dusza

*Rozmiłowała się ma dusza
W cichym szeleście drzew,
Gdy koronami ich porusza
Druh mój, przecichy wiew.*

*Rozmiłowała się ma dusza
W głośnych odmętach fal,
Gdy druh mój, burza, je porusza,
W nieznana płynąc dal.*

*Rozmiłowała się ma dusza
W twórczych promieniach zórz,
Gdy druh mój, słońce, w świat wyrusza,
Życia płomienny stróż.*

*Rozmiłowała się ma dusza
W przepastnej nocy mgłach,
Gdy druh mój, śmierć, na polów rusza,
A przed nią lęk i strach.*

I

Witajcie, kochane góry,
O, witaj droga ma rzeko!
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko!

Dzielili mnie od was ludzie,
Wrzaskliwy rozgwar miasta,
I owa śmieszna cierpliwość,
Co z wyrzeczenia wyrasta.

Oddalne to są przestrzenie,
Pustkowia, bezpłodne głusze,
Przerywa je tylko tęsknota,
Co ku wam pędzi duszę.

I ona mnie wreszcie przygnała,
Że widzę was oko w oko,
Że słyszę, jak szumisz, ty wodo,
Szeroko i głęboko.

Tak! Chodzę i patrzę, i słucham -
O jakżeż tu miło! jak miło! -
I śledzę, czy coś się tu może
Od kiedyś nie zmieniło?

Nic, jeno w chacie przydrożnej
Zmarł mój przyjaciel leciwy
I uschły dwie wierzby nad rowem,
Strażniczki wiosennej niwy.

A za to świeżym się liściem
Pokryły nasze jesiony
I jaskry się złocą w trawie
Zielonej, nie pokoszonej.

A za to płyną od pola
Twórcze podmuchy wieczności,
Co śmierć na życie przetwarza
I ścieżki myśli mych prości.

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko!
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko!

II

Tą samą chodzę drogą,
Ścieżkami temi samemi,
Lata mnie spędzić nie mogą
Z mej udeptanej ziemi.

Upór mój budzi zdumienie
Nawykłych do przemian oczu,
Lecz ja się wałęsać nie lenię
Po jednostajnym roztoczu.

Tą percią idący, tym skrajem
Smreczynowego lasu,
Utartym witam zwyczajem
Twórczą robotę Czasu.

Tu, patrząc na latorośle,
Na świeże gałązek końce,
Szept, bywa, ku górze pośle:
„O Tworzymielu, słońce!”

Tu, z tego miejsca, najlepiej
Śnieżyste widzę szczyty .
I jak się nad nimi sklepi
Strop niebios, błękitem kryty.

Tu spod mych stóp się wrywa
Młodzieńcze kwiecie poziomki,
Tam leży gałąź krzywa -
Odłamał cios ją gromki.

Odłamał zeszłego lata:
Pamiętam dobrze tę burzę
I z tajemnicą świata
Chodzić się dalej nie nużę.

Nie nużę się chodzić dalej
Po jednej tej samej drodze:
Znam, czego nie poznali
Pospiesznych kroków wodze.

Ta jedna licha drzewina -
Nie trzeba dębów tysięcy! -
Z szeptem się ku mnie przegina:
„Jest Bóg i czegoż ci więcej?!”

To małą, nędzne pacholę
Prawi mi, patrząc w oczy:
„W twym jednostajnym kole
Wieczność wraz z tobą kroczy...”

Tą samą chodzę drogą,
Ścieżkami temi samemi,
Lata mnie spędzić nie mogą
Z mej udeptanej ziemi...

III

Nie ma tu nic szczególnego,
Żadnych tu dziwów świata:
Fundament z skalnych odłamów,
Z płazów świerkowych chata.

Przed chatą mały ogródek,
A w nim - o ludzie zmęczeni! -
Czuwa nad naszym spoczynkiem
Rząd pewnych siebie jasieni.

Rozłożył swoje korony -
O ludzie, nękani strachem! -
Nad zrębem naszego domu,
Nad domu naszego dachem...

Nie ma tu nic szczególnego...
Droga się snuje pod płotem -
Skąd ona i dokąd wiedzie,
Prawie nie myślę o tem...

Bo na cóż taka świadomość,
O ludzie, zbyt ciekawi!? -
Poranek zeszedł nad drogą,
Droga się w blaszkach pławi!

Ach! dokąd wy tak spieszycie,
O ludzie, tęsknotą gnani?
Tu las jest, tu potok szumi,
Wyzwolon z głaźnej otchłani...

Nie ma tu nic szczególnego...
Dzwon się odezwał z wieży,
W czerwcowych omzach południa
Łąka rozkwitła leży.

Pozbywa się moje serce -
O ludzie, żyjący nadzieją! -
Wszelakiej skazy, gdy widzę,
Jak trawy śmiać się umieją.

Gdy stojąc w progach tej chaty -
O ludzie, żądni bogactwa! -
Wyciągam ręce i zgarniam
Skarby bożego władztwa...

Nie ma tu nic szczególnego...
Bo jakież cud tu być może,
Gdzie w wieczór na górskich szczytach
Żagwią się ognie boże?

Zagasły!... Że zgasły tak prędko -
O ludzie, żywota chciwi! -
I że zagasnąć musiały,
Nikt tu się temu nie dziwi.

Z głębin tych mroków błękitnych -
Walczący z chwiejnością ludzie! -
Przy pływa ku mnie dziś pewność
O cudzie i o nie-cudzie...

Nie ma tu nic szczególnego,
Żadnych tu dziwów świata:
Fundament z skalnych odłamów,
Z płazów świerkowych chata.

VII

Powiedz mi, powiedz,
Jaki cię ku mnie sprowadził manowiec?
Zza jakiej góry, zza jakiej rzeki
Przybyłaś tutaj, w świat mój daleki,
Pewny swej drogi wędrowiec?

Co za wyrocznie
Rzekły ci prawdę, tak dzisiaj naocznie
Zadowoloną z przynęty swojej,
Że w mego domu cichej ostoi
Znużona stopa twa spocznie?

Złóżże, me dziecko,
Sakwę podróżną, co barki ci gniece,
I pokrzep siły czarą miłości:
Dla najprzedniejszej jest ona z gości,
Dla jednej już tylko na świecie...

A jeśli padnie
Kropla goryczy, co leży gdzieś na dnie,
Zawiedzionymi nie krzyw się usta:
Jać nie poszedłem między oszusty,
Nie chciałem ubiec cię zdradnie.

Takie są dzieje
Że i najczystsza fala, co jaśnieje
Odblaskiem nieba, ciemno się skłębi
I muł i zielsko wyrzuci z głębi,
Gdy wicher niezwykły zawieje...

Lecz po cóż o tem?
Dzięki ci, dzięki, że takim mnie złotem
Obdarowujesz, wybranym z skrzyni,
Gdzie się na życie ofiara czyni,
Gdzie nie ma paktów z odwrotem.

Oczy ci płoną
Na myśl, że taką niepowszednią stroną
Przybywszy skądś w te progi,
Bogacisz dom mój ubogi
Swą wiarą nieprzemogoną.

Lico-ć się pali,
Kiedy mi szepcesz, że widzisz gdzieś w dali,
Jak za tą skonów powłoką ciemną
Jakąś światłością świecimy wzajemną
Śród tych, co dnia nie zaspali.

O, niebogato
Za miłościwe odpłacam się lato:
Idąc w tę przyszłość za twymi tropy,
Chciałbym ci słońca rzucać pod stopy,
A daję li pieśni ci za to.

Ale ty właśnie
Mówisz, że przy nich wszelki skarb ci gaśnie,
Albowiem celem twoim przybycia
Było uczynić hymn z mego życia,
W wieczyste zmienić je baśnie.

Powiedz mi, powiedz,
Jaki cię ku mnie sprowadził manowiec?
Zza jakiej góry, zza jakiej rzeki
Przyszłaś z tą wolą w świat mój daleki,
Zwycięstwa pewny wędrowiec?...

VIII

Swobodna jest moja dusza,
Nikt jej skrepować nie zdoła,
Miłując ona swe skrzydła,
Cześć żywi dla swego czoła.

Czy loty jej górne, czy niskie,
Czy nieba, czy ziemi jest bliżej,
Nigdy na żaden się ukaz
Nie ugnie i nie poniży.

Nie władnie tu żadna potęga
Nad jej wieczorem czy ranem,
Sama jest sobie monarchą,
Sama jest sobie kapłanem.

Swój własny ma ona kościół,
Królestwo swe osobiste,
Parafian ma i poddanych
Wielce dobraną listę.

Swych praw świadoma i dzierzaw,
Nieraz i w pychę porasta,
Myśli, że nie ma już nad nią
Swobodniejszego własta.

A przecież bywają chwile -
O sił tajemnych przymierze! -
Iż coś ją więzi i pęta,
Coś ją na arkan bierze.

Nasturcje, co w naszym ogródku
Puściły kielki i rosna,
W raba zmieniają mą duszę
Potęgą swą bezlitosną.

Kwiat złotogłowia, co właśnie
Dziś zakwitł nam w całej ozdobie,
Każe mej duszy po cichu
Położyć skrzydła po sobie.

Ten kret tu, co pod korzeniem
Tych maków przyziemnych ryje,
Przymusza ją, jak poddanę,
Bezwolną uginać szyję.

Ta wrona, co dla swych piskląt
Chleb nam ze stołu kradnie,
Potrzebę i rozkosz niewoli
Budzi w jej sercu na dnie.

I dusza ma, wielce posłuszna,
O prawa się swoje nie pyta,
Z podwiązanymi skrzydłami
Stoi w podziwie jak wryta...

Swobodna jest moja dusza,
Nikt jej unżyć nie zdoła,
Ale są chwile, gdzie kornie
Musi pochylać czoła.

X

O wielcy i syci tej ziemi!
Cóż z wami łączyć mnie może,
Choć głodno spać się nie kładę,
Choć miast barłogu mam łożę?

Choć biała na mnie koszula,
Z tych samych lnów uprzedzona,
I choć jednakie nam sukno
Pokrywa nasze ramiona?

Choć nieraz przy wspólnym stole
Z jednakich jemy talerzy,
Nad czystym schyleni obrusem,
Co dziesięć łokci mierzy?

Choć z szklenic o złotym brzegu,
Rzniętych w kosztownym kryształu,
Jednakie pijący wino,
Z wami je razem chwałę?

Cóż może mnie skuwać z wami,
Jakie ogniwa i sploty,
Choć wspólne snadź mamy grzechy
I wspólne, jeśli są, cnoty?

Choć z jarzma dziś wyprzęgnięty,
W rozsypiającym tym lecie
Bezczywnie się włóczę po drogach
Tak samo, jak wy to umiecie?

Choć mógłbym z niejednym z waszych
Słuchać dziś szeptów tej głuszy,
Bo i wy przecież także
Wrażliwe mewacie uszy -

I z was zamyśleńcy powstali
Patrzący na świat nieobłudnie,
Co jakżeż głęboko umieli
Sondę zapuszczać w studnię!

Jakież mnie wiążą z wami
Łączniki, węzły i spójnie,
Choć jedno z błękitów słońce
Spogląda na nas tak czujnie?

Chociaż ten grom, co w tej chwili
Zabójczym zahuczał głosem,
Mógłby tu mnie razem z wami
Jednym powalić ciosem?

Choć śmierć ma, tak samo jak wasza,
Licha być może i podła -
Z uwiadu, co musiał zejść z drogi,
Która ku chwale wiodła?...

Te na samotnych przechadzkach
Zadaję sobie pytania,
Pragnący osiąść tę miłość,
Co się ku wszystkim skłania.

Lecz czuję, choć pęd swych zastrzeżeń
Trzymam usilnie na wodzy,
Że sercu mojemu najbliżsi
Maluczcy i przeubodzy -

Że wszystko, co tylko jest w duszy
Z najszlachetniejszej przędzy,
Ludzkiemu oddaję cierpieniu,
Ludzkiej poświęcam nędzy.

XI

Przestałem się wadzić z Bogiem -
Serdeczne to były zwady:
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą nie ma już rady.

Tliło w mej piersi zarzewie,
Materiał skier tak bogaty,
Że jeno dać w palenisko,
A płomień ogarnie światy.

Wiedziały o tym potęgi,
Co gdzieś po norach drzemią
Albo z bezczelną jawnością
Jak mgły się włóczą nad ziemią.

Wiedziały ci o tym moce,
Które złośliwość popędza,
By szły powiększać nędzę
Tam, gdzie największa jest nędza.

Wiedziały ci o tym zastępy,
Które czyhają z za węgła
Lub z okna patrzą z szyderstwem,
Czy zbrodnia się nie wylęła?

Wiedziały, że jeno się zbliżyć
Ku popiołowi mej kuźni,
A serce od razu wybuchnie,
Zuchwale zaklnie, zabluzni.

Że swym bluźnierstwom i klątwom
Czynu wyciśnie znamię,
Płonące żądzą odmiany,
Przewrotu, co berło Mu złamie.

I dzisiaj nie żal mi tego,
Najmniejszej nie czuję skruchy,
Bom-ci nie żaden służalec,
Na własne serce głuchy.

Bo w sporze o szczęście świata
Swawolność mi była daleka,
A tyłkom korzystał z prawa
Wojującego człowieka.

Jeno że dzisiaj to widzę,
W patrzeniu dosyć już biegły,
Czego w zamęcie walki
•renice me nie dostrzegły:

Nie ruszał-ci On naprzeciw
W ryszunku wspaniałym dziwie,
A tylko na tronie Swym siedząc,
Uśmiechał się pobłaźliwie...

I dziś ja sam uśmiechnięty,
Gdy krzyczą: „w żelazo się okuj!”,
Jak ongi miecz niosłem walczącym,
Tak dzisiaj niosę im spokój.

Lecz już nie wadząc się z Bogiem,
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dnie mojego spokoju
Żar świętej wojny tleje.

XII

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skoń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążutkie ręce!

Lubię, gdy stajesz, ze mną
Na tym tu wiejskim balkonie,
Który poczeriał od deszczów,
Lecz dzisiaj mi w blaskach tonie.

Lubię, gdy z tego dzbana
Podlewasz kwiaty na grzędzie,
Marząca lub głośno mówiąca,
Jaka to rozkosz z nich będzie!

Lubię, gdy siedząc przy stole,
Sięgasz po kromkę chleba
I dzieląc ją, dajesz mi częśćkę,
Czy trzeba mi, czy nie trzeba.

Lubię, gdy gubiąc się w dali,
Gdzie Wierch się rozsiadł Lodowy,
Czoło, przyćmione zadumą,
Do mojej tulisz głowy.

Ale najbardziej ja lubię
Ciekawość, co z oczu ci tryska,
Gdy wracam, jak zwykle, od pola,
Od lasu, od rzeki łożyska.

Gdy wracam z codziennej drogi,
Cały rozplómienny,
Pytasz się, cała w płomieniach,
Jakie przynoszę plony?

Czy w szumie wody lub drzewa
Nutę odkryłem świeżą
I czym już doszedł, co żyje
Za nieba i ziemi rubieżą?

Czy mgły się przedarły, czym słyszał,
Jak dzisiaj, melodie skowrończe
I kiedy z zwątpieniem w pieśń własną
Raz ostatecznie zakończę?

Czy miałem tę szczęsną chwilę
Spojrzenia do głębi wnętrza,
By się przekonać, że jeszcze
Jakiś tam pokład się spiętrza?

Że w duszy niewyczerpanej -
Niech prawda ta będzie prawdziwa! -
Na hymn, co zagaśnie li z życiem,
Godnego starczy paliwa?

Strasznie to lubię, gdyż czuję,
W dolę zapatrzon wzajemną,
Że w takich mi drogich godzinach
Najbardziej żyjesz ze mną.

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skoń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążiutkie ręce!

XII

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skroń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążutkie ręce!

Lubię, gdy stajesz, ze mną
Na tym tu wiejskim balkonie,
Który poczerńiał od deszczów,
Lecz dzisiaj mi w blaskach tonie.

Lubię, gdy z tego dzbana
Podlewasz kwiaty na grzędzie,
Marząca lub głośno mówiąca,
Jaka to rozkosz z nich będzie!

Lubię, gdy siedząc przy stole,
Sięgasz po kromkę chleba
I dzieląc ją, dajesz mi częśćkę,
Czy trzeba mi, czy nie trzeba.

Lubię, gdy gubiąc się w dali,
Gdzie Wierch się rozsiadł Lodowy,
Czoło, przyćmione zadumą,
Do mojej tulisz głowy.

Ale najbardziej ja lubię
Ciekawość, co z oczu ci tryska,
Gdy wracam, jak zwykle, od pola,
Od lasu, od rzeki łożyska.

Gdy wracam z codziennej drogi,
Cały rozplomieniony,
Pytasz się, cała w płomieniach,
Jakie przynoszę plony?

Czy w szumie wody lub drzewa
Nutę odkryłem świeżą
I czym już doszedł, co żyje
Za nieba i ziemi rubieżą?

Czy mgły się przedarły, czym słyszał,
Jak dzisiaj, melodie skowrończe
I kiedy z zwątpieniem w pieśń własną
Raz ostatecznie zakończę?

Czy miałem tę szczęsną chwilę
Spojrzenia do głębi wnętrza,
By się przekonać, że jeszcze
Jakiś tam pokład się spiętrza?

Że w duszy niewyczerpanej -
Niech prawda ta będzie prawdziwa! -
Na hymn, co zagaśnie li z życiem,
Godnego starczy paliwa?

Strasznie to lubię, gdyż czuję,
W dolę zapatrzon wzajemną,
Że w takich mi drogich godzinach
Najbardziej żyjesz ze mną.

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skroń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążutkie ręce!

XII

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skroń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążutkie ręce!

Lubię, gdy stajesz, ze mną
Na tym tu wiejskim balkonie,
Który poczeriał od deszczów,
Lecz dzisiaj mi w blaskach tonie.

Lubię, gdy z tego dzbana
Podlewasz kwiaty na grzędzie,
Marząca lub głośno mówiąca,
Jaka to rozkosz z nich będzie!

Lubię, gdy siedząc przy stole,
Sięgasz po kromkę chleba
I dzieląc ją, dajesz mi cząstkę,
Czy trzeba mi, czy nie trzeba.

Lubię, gdy gubiąc się w dali,
Gdzie Wierch się rozsiadł Lodowy,
Czoło, przyćmione zadumą,
Do mojej tulisz głowy.

Ale najbardziej ja lubię
Ciekawość, co z oczu ci tryska,
Gdy wracam, jak zwykle, od pola,
Od lasu, od rzeki łożyska.

Gdy wracam z codziennej drogi,
Cały rozplamiony,
Pytasz się, cała w płomieniach,
Jakie przynoszę plony?

Czy w szumie wody lub drzewa
Nutę odkryłem świeżą
I czym już doszedł, co żyje
Za nieba i ziemi rubieżą?

Czy mgły się przedarły, czym słyszał,
Jak dzisiaj, melodie skowrończe
I kiedy z zwątpieniem w pieśń własną
Raz ostatecznie zakończę?

Czy miałem tę szczęsną chwilę
Spojrzenia do głębi wnętrza,
By się przekonać, że jeszcze
Jakiś tam pokład się spiętrza?

Że w duszy niewyczerpanej -
Niech prawda ta będzie prawdziwa! -
Na hymn, co zagaśnie li z życiem,
Godnego starczy paliwa?

Strasznie to lubię, gdyż czuję,
W dolę zapatrzon wzajemną,
Że w takich mi drogich godzinach
Najbardziej żyjesz ze mną.

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skroń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążiutkie ręce!

XII

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skroń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążiutkie ręce!

Lubię, gdy stajesz, ze mną
Na tym tu wiejskim balkonie,
Który poczerńiał od deszczów,
Lecz dzisiaj mi w blaskach tonie.

Lubię, gdy z tego dzbana
Podlewasz kwiaty na grzędzie,
Marząca lub głośno mówiąca,
Jaka to rozkosz z nich będzie!

Lubię, gdy siedząc przy stole,
Sięgasz po kromkę chleba
I dzieląc ją, dajesz mi częśćkę,
Czy trzeba mi, czy nie trzeba.

Lubię, gdy gubiąc się w dali,
Gdzie Wierch się rozsiadł Lodowy,
Czoło, przyćmione zadumą,
Do mojej tulisz głowy.

Ale najbardziej ja lubię
Ciekawość, co z oczu ci tryska,
Gdy wracam, jak zwykle, od pola,
Od lasu, od rzeki łożyska.

Gdy wracam z codziennej drogi,
Cały rozplamieniony,
Pytasz się, cała w płomieniach,
Jakie przynoszę plony?

Czy w szumie wody lub drzewa
Nutę odkryłem świeżą
I czym już doszedł, co żyje
Za nieba i ziemi rubieżą?

Czy mgły się przedarły, czym słyszał,
Jak dzisiaj, melodie skowrończe
I kiedy z zwątpieniem w pieśń własną
Raz ostatecznie zakończę?

Czy miałem tę szczęsną chwilę
Spojrzenia do głębi wnętrza,
By się przekonać, że jeszcze
Jakiś tam pokład się spiętrza?

Że w duszy niewyczerpanej -
Niech prawda ta będzie prawdziwa! -
Na hymn, co zagaśnie li z życiem,
Godnego starczy paliwa?

Strasznie to lubię, gdyż czuję,
W dolę zapatrzon wzajemną,
Że w takich mi drogich godzinach
Najbardziej żyjesz ze mną.

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skoń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążiutkie ręce!

O Wierchu, ty Wierchu Lodowy!
I znowu się zwracam do ciebie,
Olbrzymie, rozbłękitniony
Na tym błękitnym niebie.

Stoisz naprzeciw mych okien,
Codziennie widzieć cię muszę,
Zaglądasz z swej dali w mą izbę,
A nieraz, zda mi się, w duszę.

Zda mi się, że nieraz się pytasz,
Skapan w światłościach południa,
Czy jeszcze jest coś w moim wnętrzu,
Co drogę mi w słońce utrudnia.

I owszem, przyznaję się, że jeszcze
Mrok jakiś kryje się na dnie,
Cień świata, co rwał mnie w swą otchłań,
I dzisiaj mi radość mą kradnie.

I dziś mnie, o Wierchu promienny,
Z koła wytrącić może
Gdzieś jakaś umarła wierzba,
Gdzieś gradem pobite zboże.

Gdzieś jakiś wybladły człowiek,
Którego niweczy nędza
Albo choroba, dziś jeszcze
W chmurną mnie żałość zapędza.

Tak zwykłe, powszednie sprawy,
Takie konieczne zjawiska,
A ich przyczyna i skutek
Nieomal w rozpacz mnie ciska.

Ale mnie wnet odbiegają
Te kłamu zwiastuny i gońce,
Dziś moją prawdą wszechwładną
Zieloność, woń łąki i słońce.

Przenika mnie blask ich i świeżość,
I twoja skalista władza,
O Wierchu, kowany w granicie,
Krew świeżą mi w żyły wprowadza.

Czuję się znowu jak dziecko,
Młodość mi pierwsza powraca,
Weseli mnie dzień ten słoneczny,
Żywiołów raduje praca.

Czuję, że dzisiaj mi skrzydła
Potrójnie się wzmogły, poczwórnice,
Żem gotów na lot się odważyć
Nad te podniebne turnie.

Pytasz się, Wierchu, swym blaskiem
Patrzący do mego wnętrza,
Czy wiem już, że wszystkim jest słońce,
Że to potęga najświętsza?

Wiem dobrze, a jeśli się echem
Pomrok odezwie dalekiem,
Azali być może inaczej?
Wszak człowiek jest tylko człowiekiem.

O Wierchu, ty Wierchu Lodowy!
I znowu się zwracam do ciebie,
Olbrzymie, rozbłękitniony
Na tym błękitnym niebie.

XVI

Przynoszę ci kilka pieśni
Na nutę niewyszukaną,
W górach je naszych zebrałem,
Przy stawach, pod skalną ścianą.

Przy stawach, pod skalną ścianą,
Na tej spadzistej przełęczy,
Gdzie śnieg się jeszcze w tej porze
Błagalnie ku niebu wdzięczy.

Błagalnie się wdzięczy ku słońcu
Ta bryła srebra szczerza,
A ono z promiennym uśmiechem
Z wolna jej serce pożera.

Požera z wolna jej serce
I potem, zadowolone,
Podąża w swój pałac zachodu
W tryumfu się ubrać koronę.

W koronę tryumfu się stroi,
A ona, ta śniegu bryła,
Pociesza się w samotności,
Że jeszcze snadź będzie żyła.

Że jeszcze snadź będzie żyła,
Że wróci ku niej krąg słońca
I że promieniejący
Pochłaniać ją będzie do końca.

Pochłaniać ją będzie do końca,
Aż się wypełnią jej dzieje,
Aż wszystka, spragniona miłości,
W uściskach jego stopnieje.

W uściskach jego stopnieje,
Nic po niej nie zostanie,
Znaczyć-li będą jej miejsce
Wieczyste, kamienne granie.

Wieczyste, kamienne granie,
Czarne, błyszczące skały,
Co same się w żarach słonecznych
Posepnie rozmiłowały.

XXI

Cokolwiek o tym powiecie,
Przed wami nie stanę bosy,
Pętlicy na kark nie zarzucę,
Nie myślę pójść do Kanosy.

Nigdy się nie rwał ku cnocie,
Grzechów spełniłem niemało -
Cóż robić? Wszak tylko z gliny
Bóg nam ulepił dało.

Częstom próbował się oprzeć
Na krokwiach dziadowskich ducha
Pokusa była za mocna,
Podpora moja za krucha.

Z wszystkich mi stron urągano:
„Racze opatrzyć się, bracie!
Mróz, mówią, na psa przychodzi,
Mróz przyjdzie srogi i na cię.

Nim się spostrzeże twa pycha,
Pewnego wieczora czy rana,
Kostusia się zjawi z klepsydrą
I kosą, niezawołana.

Skurczysz się, skręcisz i chętnie
Staniesz przed nami bosy,
Pętlicę zarzucisz na szyję
I pójdiesz rad do Kanosy.

Jeno że będzie za późno!
Odpadniesz, jak puste plewy,
Jak gałąź zeschła, do ognia
Przez Pańskie rzucona gniewy”.

Nie troszczcie się o mą przyszłość,
Kraczące kruki wy lubie!
Jużem-ci sam postanowił,
Aby odwrócić swą zgubę.

Gdy przyjdzie mróz na mą skórę,
Co juści wszystkich nas czeka,
Przywołam ze wsi ku sobie
Najnędnieszego człowieka.

Dłoń mu uścisknę i powiem:
Chudobaśmy obaj, chudoba!
Nie skąp mi swojej miłości,
Nagrzeszylśmy się oba.

A zaś stanąwszy przed Gazdą,
Ujrzawszy swojego Sędzie,
Przybywam - rzeknę - z nadzieją
I niechże będzie, co będzie.

Juhas-ci jestem pośledni,
Twój pastuch, Panie, lecz owiec
Możem Ci żadnych nie wypasł,
Cóż ze mną uczynisz? Powiedz!

Nie miałem w sobie pokory,
Nie chciałem nigdy bosy,
Pętlicę na kark zarzuciwszy,
Wędrować hen! do Kanosy.

Lichy jest ze mnie adwokat,
Lecz dla obrony, mój Boże,
Przytoczę, że tylko przed Tobą
Każdej się chwili ukorzę.

Bo i cóż robić, gdyś taką
Raczył nagodzić mi duszę,
Że, by pozbyła się Ciebie,
Żadną jej siłą nie zmuszę?

Dodam też jedno, jeżeli
Zbyt będzie lekka ma waga:
Kochałem najlichsze źdźbło trawy
I człeka, co z losem się zmaga.

Najmniejszy listek na drzewie,
Najmniejsza wody kropelka
Czci mojej były przedmiotem -
Tak Twoja władza jest wielka.

Gdybym nie wstydził się ludzi,
Choć ślepi są, głusi i niemi,
Publicznie bym ukląkł na widok
Najmniejszych pyłków ziemi.

Nie moja-ć w tym jest zasługa -
Jakiegoś stworzył mnie, Panie,
Takiego masz mnie! - a jednak
Snadź mi się krzywda, nie stanie.

Od Siebie mnie nie odtrącisz,
Choć tam ja nie chciałem bosy
Pętlicy zarzucać na szyję
I czołgać się do Kanosy.

XXXI

Pożółkły znużone pola,
Niebiosy coraz to bledsze,
Żądnymi piersiami chłonę
Ciche, jesienne powietrze.

Rozglądam się naokoło -
Niebujnie tu, niebogato,
A przecież mi nie żal dzisiaj,
Że się prześniło lato.

W tej pustce, w tym wyczerpaniu,
Które mi w oczach rośnie,
To samo odczuwam życie,
Jak w pełnej, kwitnącej wiosnie.

Przystaję na długiej miedzy,
Ku rzyskom nakłaniam lica,
Z powiędłych kępek ta sama
Wyziera mi tajemnica...

Mgły jakieś nieuchwytnie
Las osnuwają bury,
Nieśmiało migocą w słońcu
Śniegiem pokryte góry.

Uroczą, smętną martwotą,
Zda się, iż śmierć jest gdzieś bliska,
Na pochyłościach wierchu
Jesienne dymią ogniska.

Nieletni, wąty pastuszek
Okiem mnie wita lękliwie -
Jeszcze się było pasie
Na tej wychudłej niwie.

Jeszcze jest jakaś czerstwość
Na niwie tej wypalanej -
Z wrzaskiem niesamowitym
W krąg się zwołują wrony.

Gdzieś lecą, gdzieś giną w dali,
Wzięły ze sobą zmoreę -
Garść pełną zoranej gleby
Do chciwej ręki biorę.

Upajam się jej zapachem,
I dzisiaj tak samo on świeży -
O rodzicielko żywota,
O święta, płodna Macierzy!

O skarbie ty mój najdroższy,
Rozstać się z tobą nie mogę -
Zielone jeszcze sitowie
Z uśmiechem zaszło mi drogę.

Na gruzem zasłanej miedzy
Jałowiec krzewi się młody,
Dziś barwy mu odmieniły
Fioletowe jagody.

Skapo się fala toczy
Potokiem, co wysechł w lecie,
Spomiędzy chwastów nad brzegiem
Samotne żółcieje kwiecie.

Ostatnie to już - zapewne!
O innych nie usłyszycie,
Lecz ja w tej pustce dzisiejszej
To samo odczuwam życie.

W tym wyczerpaniu, co dzisiaj
Świat tak cudownie mroczy,
Ta sama wszak tajemnica
Dziwem otwiera mi oczy.

Powędły, przymarły pola,
Niebiosa coraz to bledsze,
Żądnymi piersiami chłonę
Ciche, jesienne powietrze.

XXXV

O służebnico w mym domu -
Służebni jesteśmy oboje,
Wartujem u bram wieczności,
Na losy czekając swoje.

Niedawnośmy się poznali,
Niedawno jesteśmy razem,
A zda się, żeśmy od wieków
Bożym złączeni rozkazem.

A zda się, że nasze spotkanie,
Dziś mego życia treść cała,
Odbyło się w czasach, gdy pamięć
Oczu ni uszu nie miała.

Gdy żądza wędrówki w przyszłość
Krok jęła stawiać ubogi,
Świadoma bezwładu swych skrzydeł,
A nieświadoma drogi.

I oto od onej pory,
Spowitej w pierwocin żłobie,
Byliśmy ze sobą razem,
Nie wiedząc wcale o sobie.

W nieznaną wybrawszy się podróż
Po grudzie czy trawie miękkiej,
Rękaśmy w rękę szli światem,
Nie znając wcale tej ręki.

A na przystankach wytchnienia,
Przepastnym spiesząc okrajem,
W źreniceśmy sobie patrzyli,
Swych źrenic nie widząc wcale.

Ogień się wpijał nam w ogień,
Fala gubiła się w fali,
Że nasze to były usta,
Czyśmy to przeczuwali?

Cnotami szliśmy i grzechem,
Dumni i przygnębieni,
Nie myśląc o tym, że właśnie
Cienie to naszych cieni.

Aż dotarliśmy do kresu -
Jak trudno do niego się dostać! -
Gdzie życie w swój kształt się ubiera,
W swą rzeczywistą postać.

Niewielki jest dom tego życia
I niewysokie są ściany,
Śród których przyciskam do serca
Skoń służebnicy kochanej.

Ale za nimi, za progiem,
Za okien tych wąskich parą,
Świat się rozciąga bezmierny,
Tęsknotą wypełnion starą.

Pradawną, odwieczną tęsknotą,
Więzioną w głębinach ducha,
Nie każdy ją w sobie dostrzega,
Nie każdy głosu jej słucha.

Lecz my, z łatwością czy trudem
Pełniąc swój szarwark powszedni,
Ku oknom zwracamy źrenice,
Niezwykle bogaci, choć biedni.

Pod wieczór, gdy życie się kąpie
W uspokojeniu przebłogiem,
Słuchamy, czy głos się odzywa
Za domu naszego progiem.

A jeśli orkan się zerwie,
Oddechy niosący boże,
Rozparlibyśmy te ściany,
By w wiecznym go chłonać przestworze.

Od wieków śmierć k«nam się skrada,
Z dniem każdym pośpiech jej rośnie,
Radośnieśmy życie przyjęli
I śmierć przyjmiemy radośnie.

O służebnico w mym domu -
Służebni jesteśmy oboje,
Warujem u bram wieczności,
Na losy czekając swoje...

XXXVII

Padłeś z daleka od swoich,
Za cudzą walczący sprawę -
Wroga zagnała cię przemoc,
Złośliwe losy krwawe.

Ty dziecko polskiego ludu,
Krainy, w nieszczęścia żyznej,
Pamiętam serce swe młode,
Wezbrane dolą ojczyzny.

Pamiętam ongi twe listy,
Te proste, niewprawne słowa,
Którymi ze zgrozą przemawia
Ta nasza skarga wiekowa.

Wróg was zamyka w koszarach,
Serce mundurem wam ściska,
Aby w nim stłumić tęsknotę
Do rodzinnego ogniska.

Język wydziera wam z gardła,
Bez miłosierdzia oniemia,
Byście się ozwać nie mogli,
Gdy własna zawoła ziemia.

Majaki wam stawia przed oczy,
Obrazy kłamliwej siły,
Abyście praw się zaparli
Do dni, co by chwałą świeciły.

Byście wróciwszy do domu,
Potęgą wroga olśnieni,
Własnych zaparli się przodków,
O pomstę krzyczących cieni.

Byście te przysze szeregi,
Co z waszej krwi powstać mają,
Zaprzączym łączyli węzłem
Z nieprzyjacielską zgrają.

Byście bez żalu je wiedli,
Butę mający na przedzie,
Do walki o przyszłość nie swoją,
Jak on was dzisiaj wiedzie...

Zali już nie ma na świecie
Karzącej Sprawiedliwości,
Że tak haniebnie kłaść musim
Do grobu strudzone kości?

Nie! Nie! Ja przecież mam w głębi
Resztę - czy złudnej otuchy? -
Że miecz, jeśli fałszem hartowan,
Łomliwy się staje, kruchy.

Padłeś z daleka od swoich,
Ty synu polskiej Macierzy,
Dziecko tej krwi, co daremnie
Rozlewa się coraz szerzej.

Moc poświęciwszy młodzieńczą,
W zamkowymś spoczął ogrodzie,
Nad straszną podobność rzeką
O mętnej, czerwonej wodzie.

Jeśli nie zmiotły szrapnele
Już ostatniego w nim drzewa,
Niechże ci ogród ten głucho
O twej zagrodzie śpiewa.

O twoim domu ubogim
Niechże ci szumi ta rzeka,
Jeśli w niej krew nie stężała,
Co dawno na kres swój czeka.

XL

Rzadko na moich wargach -
Niech dziś to warga ma wyzna
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupcykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją najgłośniej wypowie.

Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, iż żyje dla Niej.

Widziałem, jak do Jej kolan -
Wstręt dotąd serce me czuje -
Z pokłonem się cisną i radą
Najpospolitsi szuje.

Widziałem rozliczne tłumy
Z pustą, leniwą duszą,
Jak dźwiękiem orkiestry świątecznej
Resztki sumienia głuszą.

Sztandary i proporczyki,
Przemowy i procesyje,
Oto jest treść Majestatu,
Który w niewielu żyje.

Więc się nie dziwcie - ktoś może
Choć milczkiem słusność mi przyzna
Że na mych wargach tak rzadko
Jawi się wyraz: Ojczyzna.

Lecz brat mój najbliższy i siostra,
W tak czarnych żałobach ninie,
Ci wiedzą, że chowam tę świętość
W najgłębszej serca głębinie.

Ta siostra najbliższa i brat ten,
Wybrani spomiędzy rzeszy,
Ci znają drogi, którymi
Moja Wybrana spieszy.

Krwawnikiem zarosłe ich brzegi,
Łopianem i podbiałami:
Spieszę z Nią razem, topole
Ślą swe westchnienia za nami.

Przystajem na cichych mogiłach,
Słuchamy, azali z ich wnętrza
Jakiś się głos nie odezwie,
Jakaś nadzieja najświętsza.

Zboża się złocą dojrzałe,
A tam już widzimy żniwiarzy,
Ta dłoń swą na czoło mi kładzie
I razem o sprzętach marzy.

A potem, podniósłszy głowę,
Do dalszej wstając podróży,
Woła: „Miej radość w duszy,
Bo tylko radość nie nuży.

Podporą ci będzie i brzaskiem
Ta ziemia, tak bujna, tak żyzna,
Nią-ci ja jestem, na zawsze
Twa ukochana Ojczyzna”.

Jakiś złośliwy złoczyńca
Pszeniczne podpala stogi,
U bram się wije niebieskich
W rozpaczy człowiek ubogi.

Jakaś mordercza zaraza
Z głodem zawiera przymierze,
Na przepelnionych cmentarzach
Krzyże się wznoszą świeże.

Jakoweś głuche tętenty
Wskroś przeszywają powietrze,
Kłębią się gęste chmurzyska,
Czyż to ręka je zetrze?

Jakaś olbrzymia rzeka
Wezbrała krwią i rozlewa
W krąg purpurowe swe nurty,
Zabiera domy i drzewa.

Jakoweś idą pomruki -
Drży nie poznana puszcza,
Dęby się groźnie ozwały,
Cóż to za moc je poduszcza?

A nad tą dolą - niedolą
Poranna nieci się zorza,
Na pieśń mą Ojczyzny pełną,
Spływa promiennosc jej boża.

W mej pieśni, bogatej czy biednej
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna
Żyje, tak rzadka na wargach,
Moja najdroższa Ojczyzna.